MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 49. WARSZAWA, 18 LISTOPADA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZBLIŻENIE WŁOSKO-FRANCUSKIE i PAŃSTWA NADDUNAJSKIE

Rzut oka na dziesięć — piętnaście lat wstecz pozwoli nam dopiero w całej rozciągłości zrozumieć, do jakiego stopnia zmienia się w ostatnich czasach sytuacja polityczna. Jednym z punktów najbardziej interesujących jest ewolucja stosunków między Włochami i Francją i odbicie tych zmian w państwach doliny Dunaju.

Z chwilą zakończenia wojny niezgodność interesów między państwami t. zw. *Entente*'y zaczęła się odrazu uwydatniać z dużą siłą. Anglja ma pretensje do *maximum* zdobyczy na morzu, do całości dziedzictwa po Niemczech, jeżeli chodzi o kolonje, do największych części obszarów, odłączonych od Turcji. We Francji zaznacza się tendencja do hegemonji politycznej i militarnej na kontynencie europejskim.

Oba te mocarstwa jednak starają się przeprowadzić pomiędzy sobą pewien kompromis. Kwestja stosunku do Niemiec, do sprawy odszkodowań i t. p. dzieli je w dalszym ciągu, niemniej Anglja robi Francji cały szereg koncesyj co do spraw kontynentu, w praktyce nie interesuje się kwestjami naddunajskiemi, Francja, otrzymawszy Syrję, zostawia Anglji wolną rękę na Bliskim Wschodzie.

W tych podziałach i kompromisach rola trzeciego partnera, Włoch, staje się ograniczona, a zdobycze stosunkowo bardzo małe. Jeszcze w czasie rokowań pokojowych w Paryżu wynikły między delegacją włoską a innymi członkami Rady Czterech tak wielkie różnice, iż Włochy wkońcu wycofały się z rokowań.

Na tem tle powstaje we Włoszech głębokie niezadowolenie z pokoju, które bardzo zbliża dyplomację włoską do innych państw, również niezadowolonych z dzieła traktatów. Idea rodzaju rewanżu dyplomatycznego staje się do pewnego stopnia myślą przewodnią polityki włoskiej.

W okresie początkowym polityka ta wyraża się w postępowaniu raczej negatywnem. Pierwsze lata po wojnie — to grawitowanie Włoch w orbicie polityki angielskiej. Od tego czasu popsuły się radykalnie stosunki z Francją. Polityka włoska wysuwa żądanie równości floty francuskiej i włoskiej, podejmuje kwestję Tunisu. Trzeba tu zaznaczyć, iż wszystkie te rewindykacje uderzają bezpośrednio w interesy Francji.

Dla Włoch jednak otwierały się jeszcze inne możliwości ekspansji, mianowicie półwysep Bałkański i dolina Dunaju. Otóż po przewrocie faszystowskim polityka włoska została poddana pewnej rewizji. Na naczelne miejsce w dyplomacji Mussoliniego wysuwa się praca nad stworzeniem Włochom sytuacji mocarstwowej w tej części Europy, mniej zaś mówi się chwilowo o sprawach morskich i kolonjalnych.

Rzecz oczywista, iż egzystencja Małej Ententy, uchodzącej za narzędzie polityki francuskiej, była największą zaporą na tej drodze, to też, wszedłszy raz na tę drogę, polityka włoska musiała rozpocząć pracę nad rozluźnieniem tego związku, nad powiększeniem swych wpływów na terenie poszczególnych państw, wchodzących w jego skład, nad wyszukaniem tych punktów, które mogłyby te ostatnie między sobą poróżnić.

Całokształt tej działalności przedstawia obraz prawdziwie mrówczej pracy, prowadzonej z nieustanną uwagą i energją, w powolnem realizowaniu planów, wymierzonych na dłuższą metę.

Równocześnie polityka włoska coraz mniej idzie w ogonku Anglji. W pierwszych latach swych

rządów Mussolini nie zawahał się nawet zaatakować klijenta tej ostatniej, Grecję (sprawa wymordowania włoskiej misji wojskowej w Epirze i karna okupacja Korfu).

Pierwszym realnym sukcesem Włoch było wybudowanie w dolinie Dunaju własnego bloku państw, które narówni z Włochami, aczkolwiek w innem znaczeniu, miały powody do niezadowolenia z traktatów. To też wciągnięcie Bułgarji i Węgier w orbitę polityczną Włoch było stosunkowo łatwem zadaniem.

Jeszcze bardziej zyskowna stała się dla Włoch polityka zbliżenia z Niemcami.

Ciekawe jest jak, podczas gdy polityka Mussoliniego była w istocie swej znacznie mniej antyfrancuska w porównaniu do polityki z przed marszu na Rzym, stosunki włosko-francuskie psują się radykalnie właśnie od tej chwili. Prawdopodobnie dużo prawdy jest w tem, iż francuski radykalno-liberalny *régime* pozwolił unieść się czysto doktrynerskiej antypatji do ustroju faszystowskiego. Stąd ten dziwny objaw, iż w tym okresie Francja szuka zbliżenia raczej z mieszczańskiemi rządami Niemiec i wkracza na drogę Locarno i Thoiry, otwartego oportunizmu i tezy „pokoju za wszelką cenę", ucieleśnionej przez Brianda (*„tant que je suis là, il n'y aura pas de guerre"* albo *„arrière les canons, les mitrailleuses, les fusils"*).

Nic bardziej pouczającego jak sposób, w jaki nastrój polityki francuskiej został podchwycony przez Niemcy i przez Włochy dla uzyskania odpowiednich korzyści. Od tej chwili dla Niemiec celem bieżącym, z dnia na dzień, staje się wyciąganie stopniowo od Francji coraz nowych koncesyj, dla Włoch utrzymywanie Niemiec w przeświadczeniu o coraz większej izolacji dyplomacji francuskiej i o tem, jak ważnem jest utrzymanie Włoch jaknajdalej od Francji.

W tym czasie ani rewindykacje Włoch, ani rewindykacje Niemiec nie godzą bezpośrednio w interesy francuskie w tym sensie, że nie tykają samych terytorjów i posiadłości Francji. W Locarno Niemcy osiągnęły zasadniczy sukces, oddzielając sprawę granic zachodnich Niemiec od sprawy granic wschodnich. Od tego czasu cała polityka niemiecka koncentruje się około „kwestji" „korytarza".

W tem położeniu Włochy zyskują w dużej mierze wolną rękę w dolinie Dunaju i ich aktywność na tym terenie nie napotyka na żadne trudności ze strony Niemiec.

Dla okresu tego charakterystyczne jest to milczące współdziałanie polityki włoskiej i niemieckiej. Historja rozwoju ustępstw francuskich nad Renem i na *forum* Ligi Narodów jest aż nadto znana. Równolegle z niemi zaś postępuje rozluźnianie się współdziałania i zrozumienia między Francją a jej sojusznikami w Europie Środkowej. Każdy zaś krok Francji wstecz nad Dunajem oznacza dla Włoch nowy krok naprzód.

Na tym terenie dyplomacja włoska nagromadziła cały zapas materjałów, który może w chwili obecnej spokojnie skapitalizować.

Ze śmiercią Stresemanna polityka niemiecka wykazuje pewne zawahanie, a po przewrocie hitlerowskim zupełną zmianę frontu. Jakiemi względami została ona wywołana, niełatwo to określić. W każdym razie zaczyna ona atakować z całą siłą przedewszystkiem kwestję Saary, przekraczając Traktat Wersalski w zakresie jego postanowień militarnych, czyli wkracza w sferę bezpośrednich interesów francuskich.

Reakcja Francji nie idzie jednak w kierunku zacieśnienia związków z sojusznikami, ale w kierunku zjednania sobie współpracy dotychczasowych rywali, mianowicie Włoch. Naczelnym celem dyplomacji francuskiej staje się nie wzmacnianie dawnego frontu przeciwniemieckiego, ale rozbicie wspólnego frontu włosko-niemieckiego.

Oczywiście kapitalnym momentem musiała tu się stać kwestja warunków włoskich. Historja Paktu Czterech i bieg wypadków od r. 1932 wskazują, iż bardzo dużą rolę musiały tu odegrać dezyderaty Włoch jeżeli chodzi o dolinę Dunaju.

Już Pakt Czterech jest początkiem realizacji idei pewnego rodzaju *„condominium"* francusko-włoskiego, jeżeli chodzi o tę część Europy. Otwierał on perspektywę do — jak wyrażano się niedawno w jednym z prasowych balonów próbnych, — uzgodnienia interesów obu wrogich sobie bloków naddunajskich przy pomocy pośrednictwa tych dwu mocarstw.

Nazywano to też pośrednictwem Francji w naprawie stosunków między Włochami a Małą Ententą.

Tego rodzaju wyjście odpowiadało szczególnie lewicy francuskiej, która mogła jednocześnie otrząsnąć się z patronowania sojuszom militarno-politycznym i rozwiać koszmar współpracy niemiecko-włoskiej. I to nie narażając w niczem bezpośrednich interesów francuskich np. w kolonjach czy też co do sprawy zbrojeń morskich.

Jeżeli chodzi o pierwsze wyniki tego zwrotu, należy ich się dopatrywać bezpośrednio w reakcji państw M. Ententy. W swoim czasie za taki objaw uznaliśmy już Pakt Małej Ententy i Pakt Bałkański. To znaczy, że były to nie wyniki jakichś presyj czy namów mocarstw, ale objawy samodzielnej dyplomacji tych państw, przedewszystkiem państw Małej Ententy.

W chwili obecnej, kiedy na zjeździe w Rzymie ma być definitywnie załatwiona sprawa współpracy francusko-włoskiej, t. zn. kiedy Włochy przedstawią swoje ostateczne żądania stronie francuskiej, dadzą się zauważyć znów pewne objawy tego rodzaju. Przykładowo wyliczając będą to:

W Rumunji: osłabienie wpływu liberałów, — stronnictwo to było zawsze wybitnie filofrancuskie.

W Jugosławji: wzrost wpływów proniemieckich, duży wysiłek obu państw dla powiększenia obrotu gospodarczego między Jugosławją a Niemcami, bardzo symptomatyczna odmowa Jugosławji wzięcia udziału w zagwarantowaniu niepodległości Austrji, o co też rozbił się projekt udziału Małej Ententy, jako całości, w tej gwarancji. Bardzo ciekawym faktem był też sposób, w jaki zostali przyjęci na ziemi jugosłowiańskiej hitlerowcy austrjaccy, uciekający po nieudanym zamachu — pozwala się im tam obecnie na organizowanie prawdziwych obozów wojskowych.

W Czechosłowacji nawet, po raz pierwszy bodaj, zaczęły się wystąpienia prasowe, krytykujące bardzo silnie stanowisko Francji w rokowaniach handlowych czechosłowacko-francuskich.

Nie możemy tego wszystkiego uznać za rzeczy zasadnicze, niemniej nie mogą one nie stać

w związku z polityką zbliżenia z Włochami. We Francji naogół przywiązuje się wielkie nadzieje do współpracy z Rzymem, ale tembardziej we wszystkich państwach Małej Ententy muszą się ludzie zastanawiać nad odwrotną stroną medalu, t. j. nad ceną, jaką trzeba będzie Włochom zapłacić, i z czyjej kieszeni.

Wszak jedno z pism francuskich niedawno stwierdzało, iż „małe" państwa Europy bogaciły się na sporach mocarstw, a „milkły" wtedy, gdy tamte się godziły między sobą. Obserwacja bardzo słuszna, bo zawsze małe państwa opłacały koszta zgody wielkich.

Jeżeli chodzi o stanowisko Francji, oczywiście, dla jej dyplomacji decydujące jest zabezpieczanie się przeciwko Niemcom. Jeżeli wybrałaby ona w tym celu drogę pozyskania sobie innego mocarstwa i jeżeli ta droga okaże się skuteczna, będzie to dla niej niewątpliwy sukces.

Dyplomacji francuskiej chodzi jednak o zupełną i trwałą izolację Niemiec, czyli, jak się mówi, o uzyskanie trwałych zabezpieczeń. Tylko przy stałem zaangażowaniu się Włoch możnaby uważać ten cel za osiągnięty.

WOJCIECH KORYBUT

CZYJA WINA?

MIESIĄC już upłynął od zamachu marsylskiego, a gorące rozprawy o tem, w jakich okolicznościach on się odbył, trwają wciąż na łamach pism francuskich, reprezentujących rozmaite kierunki opinji publicznej.

Morderca poniósł śmierć na miejscu, wspólnicy jego są ujęci, niektórzy organizatorzy podróży króla Aleksandra do Francji, winni niedbalstwa, zostali usunięci z zajmowanych urzędów, i t. d. — a mimo to nad tem wszystkiem unosi się jakaś złowroga i złowróżbna tajemnica, jątrząca sumienie publiczne.

I nie dziw, iż tak jest; tyle bowiem z tym zamachem złączyło się spraw międzynarodowego znaczenia, tyle otwarło się groźnych perspektyw, tyle wreszcie dokoła niego skupiło się pytań i wątpliwości dręczących, że trudno umysłom dojść do spokoju.

I opinja publiczna wciąż zapytuje: czyja wina? Gdyż w całej sprawie, to, co niejasne, jest potworne, a to, co już się wyjaśniło, przejąć może trwogą.

Do niejasnych np. faktów można zaliczyć to, o co zapytuje dziennik *„Le National"*, mianowicie, czy prawdą jest, iż „pomiędzy organizatorów podróży oraz przyjęcia króla Aleksandra wślizgnął się wspólnik morderców?"

Ale czy fakty jasne są mniej niepokojące?

Naprzykład pewne już dzisiaj jest to, iż na dwadzieścia minut przed wyruszeniem orszaku królewskiego, wysoki urzędnik policji politycznej (*„Sûreté générale"*), Sisteron, rozkazał wycofać, przewidzianą protokułem, eskortę rowerzystów, która miała jechać „koło w koło" z dwu stron samochodu królewskiego. Dodać trzeba, iż eskorta powyższa miała zastąpić szpaler wojska, które, po długich targach, nie zostało dopuszczone, gdyż, jak powiadają, byłoby rzeczą nieprzyzwoitą pokazywać królowi... murzynów, t. j. Senegalczyków, mających między innymi tworzyć szpaler.

Z tego rodzaju faktów zrodziło się pytanie: czy powyższe niedbalstwo organów odpowiedzialnych — karygodne już przez to samo, iż wykraczało przeciwko ustalonym regulaminom przyjęcia wysokich osób — było zwykłem niedbalstwem, czy też czemś świadomem, przewidzianem zgóry?

Przecież musiano o tem wiedzieć w urzędzie *„Sûreté générale"* (i w ministerstwie spraw wewnętrznych), że organizacja terrorystów chorwackich, na której czele stał Dr. Ante Pawelicz, poprzysięgła śmierć królowi Aleksandrowi; że w pismach, wydawanych przez nią w Berlinie (*„Croatia Press"* i t. p.) odgrażano się oddawna i nieukrywano się ze swemi zbrodniczeni zamiarami. Pisano tam (16 sierpnia) między innemi tak: „Niech p. Barthou, król Aleksander, Benesz i Titulescu nie wyobrażają sobie, że pozwoli się im igrać z innemi narodami, jak tego pragną. Los nie omieszka ich o tem przekonać. Nie zna się jeszcze godziny ani miejsca, w którem wybuchnie śmiercionośna bomba „Ustasza" (organizacja terrorystów chorwackich). Aleksander ostatni oczekuje w udręczeniu śmiertelnem tej chwili. Ale wie się już teraz, że naród chorwacki oczekuje tylko wezwania Ante Pawelicza, żeby chwycić za broń i we krwi zmyć swoją hańbę".

Trudno przypuścić, żeby o tem, o czem wiedział przeciętny czytelnik dzienników, nie wiedzieli szefowie urzędów, przeznaczonych do śledzenia wszelkich knowań i spisków politycznych.

A więc cóż? Wiedzieli i zlekceważyli sobie to wszystko. A jeżeli tak jest, to do czego dążyli, o co tu chodziło?

Wobec tego rodzaju faktów, z których się rodzą dręczące pytania, nie dziw, że nawet najbardziej zrównoważeni publicyści francuscy, najmniej zaangażowani w walki partyjne, wychodzą z równowagi i wyrażają swoje oburzenie.

„Wskutek jakich uprzejmości" — pisze René Pinon w ostatnim zeszycie *„Revue des deux Mondes"* — „wspomagana jakiemi pieniędzmi, ta banda terrorystów, licząca więcej niż dziesięć osób, zaopatrzona w fałszywe paszporty, mogła krążyć po całej Europie?" Fachowy polityk, omawiając sprawę zamachu, takie światło rzuca na jego tajemniczą stronę: „król Aleksander i Ludwik Barthou zostali zabici w chwili, w której pracowali z jednakową wolą dojścia do ostatecznego zbliżenia pomiędzy Francją i Włochami z jednej strony, oraz Włochami i Jugosławją z drugiej. Czyżby to był zwykły zbieg okoliczności? Historja zupełna zamachu marsylskiego, jeżeli kiedykolwiek zostanie ustalona, oświetli najpewniej niektóre sposoby działania pewnej polityki bez skupułów, dla której morderstwo jest środkiem dozwolonym..."

Nim historja tej zbrodni zostanie ustalona — co chyba nie prędko nastąpi — można już dzisiaj stwierdzić, że spiskowcom chorwackim ułatwiło jej dokonanie zachowanie się policji politycznej

(*„Sûrété générale“*) francuskiej. Otwiera to pole do rozmaitych domysłów, jakiemi pobudkami i względami mogła się kierować ta instytucja, lekceważąc do tego stopnia obowiązki swego urzędu, iż dopomogła (bezwiednie lub świadomie) do wykonania zamachu, którego skutki wstrząsnęły całą Francją?

Wśród licznych przedstawicieli opinji publicznej Francji przeważa przekonanie, iż dopuszczając do udania się zamachu marsylskiego, *„Sûrété générale“* chciała tą kolosalną zbrodnią zatrzeć w świadomości ogółu morderstwo radcy Prince'a, w którem prawdopodobnie sama maczała palce, a także odwrócić uwagę od sprawy Stawiskiego, i od tych, którzy w nią byli wplątani.

Są i tacy, którzy do tego dodają jeszcze i to, do czego lekką aluzję robi także Réné Pinon w swoim artykule z *„Revue des deux Mondes“*, mianowicie, że *„Sûrété générale"* pozostawała w tym wypadku w stosunkach z „pewną polityką", dla której morderstwo jest środkiem dozwolonym...

Na tego rodzaju podejrzenie zasłużyła sobie *„Sûrété générale"* długoletnią swoją działalnością, która niejednokrotnie odznaczała się albo „niedbalstwem", gdy chodziło o ochronę osobistości politycznych (ten sam p. Sisteron np. zaznaczył się niedbalstwem w stosunku do osoby prezydenta Doumer'a, zamordowanego przez Gorgułowa), albo wręcz zdradą ojczyzny, w chwilach dla niej bardzo krytycznych. Dość tu przypomnieć o słynnej podczas wielkiej wojny sprawie ówczesnego min. spraw wewnętrznych, Malvy, który za stosunki swoje ze szpiegiem Almereydą i za popieranie szpiegowskiego pisma *„Bonnet Rouge"* został skazany za zdradę stanu i t. p. Dość przejrzeć jedną z ostatnich książek Leona Daudet'a, poświęconą właśnie niesławnym dziejom policji politycznej (*„La Police politique"* wyd. Denoël et Steele), żeby się przekonać, ile kryminalnych czynów ma na swojem sumieniu ta instytucja państwowa.

Z tych i t. p. względów, zdrowa opinja publiczna Francji, która dotknięta została w swej dumie i w swym honorze, po ujawnieniu roli, jaką *„Sûrété générale"* odegrała w dramacie marsylskim, domaga się wszczęcia, w formach prawidłowych i legalnych — śledztwa przeciw wysokim urzędnikom, winnym jeśli nie wspólnictwa, to w każdym razie karygodnego niedbalstwa.

Czy do tego śledztwa i postępowania karnego dojdzie — o tem można wątpić, choćby dlatego, że sprawy *„Sûrété générale"* nietylko dotyczą jej wysokich funkcjonarjuszów, lecz i ich obrońców, a także wspólników w sferach jeszcze wyższych, w tych, co są filarami obecnego *régime*'u Trzeciej Rzeczypospolitej.

Będzie to szło najpewniej takim samym trybem, jak szła ankieta parlamentarna w sprawie zabójstwa Prince'a i Stawiskiego. Łagodne sankcje zostaną (już zostały) zarządzone względem dygnitarzy policji państwowej, zależnych od filarów *régime*'u, a tych nie pozwolą tknąć bracia lożowi.

Słowem, dramat, który tak boleśnie dotknął Francję całą, i tak zaważył na jej przyszłych losach, zamiast oczyścić i uzdrowić atmosferę jej stosunków politycznych, wniesie tam nową zgniliznę, nowe pierwiastki rozstroju i zniepprawnienia.

A przeciętny obywatel, wzruszony tem, że ów dramat dokonał się na jego ziemi, wciąż będzie zapytywał: czyja wina? — Nie otrzymując zadowalającej odpowiedzi, niezdrowemi wyziewami tej atmosfery będzie zatruwał w dalszym ciągu swoją duszę i wyobraźnię.

WŁADYSŁAW JABŁONOWSKI

RAPSODJE SŁOWACKIEGO O BOLESŁAWIE CHROBRYM

(Ciąg dalszy)

WBREW historji, która mówi o objęciu tronu przez Bolesława dopiero w wieku dojrzałym, czyni go Słowacki sierotą i władcą jeszcze za lat pacholęcych. Tarcza jednak, na której pacholę to się wspiera, jest już symbolem i zapowiedzią przyszłych jego czynów, a orli wzrok, którym spogląda w gasnące oczy ojcowskie, jest dowodem nietylko hartu, siły i odwagi, ale i zrozumienia myśli ojca, którą on wzrokiem tym odczytuje.

Duch Mieczysława schodzi w podziemie, a napotkawszy dawne bohatery greckie, odzywa się do nich: „Hektory wasze i Agamemnony i Achillesy wnet zapragną skrzydeł". Istotnie pod znakiem „Iljady" — pod znakiem walk orężnych — jest ta nowa pieśń, która się w miejscu owem rozpoczyna. Z zaświata widzi Mieczysław czyny swego syna, który jest „większy od Macedończyka" wielkością zwycięstw i rozległością podbojów:

„Coś cudownego miały one boje
na cztery strony ziemi rozesłane!"

Sięgały one aż po „Cymbryskiego półwysep Duńczyka", po Kraków „wydarty Czechom przez Polaki", „po Odry, Dźwiny i Dniepru koryta". W Dnieprze — jak „w Elbie i Sali", a nawet i Dźwinie — bił Chrobry słupy żelazne. Nieraz wspomina Słowacki te słupy w różnych warjantach „Króla-Ducha", jako fakt, najbardziej pamiętny z czasów panowania Chrobrego:

„Pamięci moja, powiedz, coć na złocie
i mgle duchowej dziś najjaśniej świta...
Oto raz, zda się, spalonego w grzmocie
wzięła na łono wodna Amfitryta...
Ty znów pod wodą... nimf widziałeś krocie
i Dniepru falą grające koryta,
w losie to mając, abyś serca bliźnie
wiązał — a wszędy był świadkiem ojczyźnie,
Więc że i słupów żelaznych wbijanie
Nie odbyło się bez twej przytomności...
Pomnisz tych Najad pieśń, podobną snowi,
i fal brzęczącą przez paluszki przędzę"...

Zastanawiającą jest rzeczą, że w związku ze słupami w Dnieprze (czy też słupem, przybierają-

cym postać bożka pogańskiego — jak Słowacki motyw ten ujmuje w innych warjantach) występuje tu stale owa pieśń fal Dnieprowych, czy też trąb zatopionych w Dnieprze. Najszczegółowiej o tych walkach ruskich Bolesława, o zdobyciu Kijowa, wbijaniu słupów w Dnieprze oraz o grających trąbach mówi poeta w innym fragmencie, który należałoby przytoczyć w całości ze względu na jego artystyczną wartość oraz epicki zakrój motywu. Tak wspaniałej bowiem pieśni o Chrobrym nie znała dotąd poezja polska — i nie będzie znała aż do czasów Żeromskiego. Prześcignął tu Słowacki wspaniały rapsod Siemieńskiego, — z którym zresztą jakby umyślnie rywalizował.

Pawlikowski — jakby od niechcenia — zwraca uwagę na to, że o wymienionej tamże walce Bolesława z Pieczyngiem - olbrzymem „wspomina Naruszewicz". Wiadomość tę uzupełnić należy o tyle, że nietylko o owym pojedynku mógł się dowiedzieć Słowacki z owego źródła. W dziele Naruszewicza rozczytywał się Słowacki gruntownie, czemu sam daje świadectwo, przytaczając w raptularzu z r. 1845 obszerny wypis z „karty 294", odnoszącej się do dziejów Mieczysława III. Z Naruszewicza — napomknę tu jeszcze — wziął szczegóły takie, jak np. górę „Zober" (właśc. Zobor), która była miejscem pobytu Świerada. Czytał tam niewątpliwie i o walce nad Bugiem, o przezwisku „wieprza tłustego, leniwego", nadanem Chrobremu przez wroga, o „zbrzydzeniu" sobie „kijowskiej gospody", o „żelaznych palach" i o trąbach w Dnieprze, wspominanych przez Sarnickiego. To wszystko prawda. *Eppur...* a jednak cały ten fragment natchniony został nietyle opowieścią Naruszewicza, ile raczej poematem Siemieńskiego. Przemawia za tem głównie motyw „nimf" czy „najad" Dnieprowych, które pieśń owych trąb powtarzają i po świecie roznoszą. Nimfy owe czy najady, to oczywiście Rusałki Siemieńskiego, które pieśni trąb „po szuwarach wtórzą" i „białą pianę chwyciwszy za grzywę, na czarnem morzu się pławią". Piękny ten obraz, — którego u Naruszewicza, rzecz prosta, daremnie szukać, — wielce musiał zachwycić Słowackiego, zwłaszcza, że motyw „podwodnego królestwa", Amfitryt, Nereid, Najad — był autorowi „Samuela Zborowskiego" nieobcy.

Umyślnie wspomniałem „Samuela Zborowskiego", boć przecie z racji tego utworu już nieraz pisano o wpływie Siemieńskiego na twórczość Słowackiego (Hahn, Cywiński, Kleiner). Znał Słowacki „Burzę czarnomorską" i „Więzienie na zamku krakowskim", wydane w r. 1844. Znał „Trzy wieszczby", które tak oddziałały na „Księdza Marka". Znał też niewątpliwie i jego przekłady pieśni czeskich, które Mickiewiczowi dawały temat do wykładów. Znać też musiał i „Trąby w Dnieprze".

Jak autor „Króla-Ducha" cenił talent swego młodszego naówczas brata w Towiańszczyźnie, Lucjana Siemieńskiego, dowodem jest utwór, zaczynający się od słów „Góry się ozłociły", gdzie spotykamy następujące wiersze:

„Na trzech pasterzy upadły promienie
obmyły ducha duszę — pod imieniem.
Jeden był, który u g a s z c z a ł n a t c h n i e n i e,
drugi, który był kwiateczków s i e m i e n i e m,
trzeci z a l e ś n e echa wywoływał".

Jak wiemy, Słowacki wielką przywiązywał wagę do imion — i lubił na ich podstawie snuć różne etymologje ludowe czy proroctwa. Tak jest w tym wypadku. Dawno już odgadniono, że owi trzej pastuszkowie—to Goszczyński, Zaleski i Siemieński. Kleiner pisze: „W utworze tym cześć oddawał ludziom, do których czuł żal słuszny — Goszczyńskiemu, co go tak skrywdził w kole sądem potępiającym, — Zaleskiemu, co wrogo się odnosił i do jego twórczości i do towianizmu, ale teraz widział w Goszczyńskim tylko szermierza sprawy Bożej, w Zaleskim tylko poetę ducha religijnego i tajemnych śnień duszy narodowej ludowej. I jednoczył z nimi braterskiem uczczeniem człowieka małych lotów, który jednak wyprzedzał innych jakiemś przeczuciem w „Trzech wieszczbach" — Lucjana Siemieńskiego". („J. Sł." IV, 2, str. 40 — 41).

Skrzywdził Kleiner Siemieńskiego, nazywając go poetą „małych lotów"; mnie osobiście się zdaje, że talet tego poety — choć rzadko się wypowiadającego — nie ustępował bynajmniej w sferze artyzmu Zaleskiemu, a przewyższał Zaleskiego plastyką i siłą wyobraźni, w czem mało ustępował i Goszczyńskiemu. Ale nie o to idzie. Dla nas w każdym razie ważną jest rzeczą, że sam Słowacki był pełen uwielbienia zarówno dla artyzmu jak i natchnień utworów „pastuszka, który był kwiatuszków sumieniem". Dowodem tego jest urywek „Króla-Ducha", którego jeszcze dotąd należycie nie wyjaśniono[1]). Brzmi on następująco:

„Zakończył śpiewak — a my zasłuchani
w rytm, w oczach mieli tę świattą sielankę...
Aż wstała złota na murawie pani,
z kwiatów podnosząc uwitą równiankę...
Wszyscy zachodem byliśmy rumiani,
który oświecał tę cichą polankę,
a las wokoło szemrał swemi brzozy,
jakby gdzieś d u c h ó w p r z e s z ł o ś c i o b o z y.

Heljon się pierwszy ocknął — i ocknięty
w duchu się uczuł i rzekł: „Wieczna sława
duchowi, który tworzył dyjamenty
i myśl dziś tworzy na te same prawa.
Śpiewaj n a m d a l e j d z i e j e, w i e s z c z u ś w i ę t y!
Czuję, że i d z i e n a n a s b u r z a k r w a w a;
j e s z c z e m n i e s ł y s z a ł, jak g r a t w o j e ł o n o,
a j u ż m a m c z a r n ą m y ś l i c h ę ć s z a l o n ą.

Zda się, że s ł y s z ę, j a k o w D n i e p r z e b i j ą
ż e l a z n e s ł u p y... w i d z ę j e p o d w o d ą.
W i d z ę r u s a ł k i, j a k ł a b ę d z i ą s z y j ą
w i ą ż ą s i ę, g r a j ą, t a n i e c s k o c z n y w i o d ą.
Powiedz, Bohdanie, czy doprawdy żyją
królowe twoje pod wodną gospodą?
Czy mi się tylko śnią w tęczowym dymie
jasne dlatego, że błysły w twym rymie?"

Wszyscyśmy na to czekali, co powie
dumek poeta; lecz on gdzieś ponury
s i e d z i a ł n a s t r o n i e i sumował w głowie
i wiązał złote jakieś rytmów sznury.
S e w e r y n więc wstał, i w ognistem słowie
tłumaczył duchów podziemnych natury...
A my słuchając, zda się coraz dalej
szliśmy z poetą w łono złotej fali".

W urywku tym wspomniani są po imieniu dwaj poeci, wymienieni w wierszu „Góry się ozłociły": Zaleski i Goszczyński. Pawlikowski w komentarzach do tego miejsca pisze („Kr.-D." II, 395): „Interesującym momentem jest, że pomiędzy słuchaczami znajdują się osoby współczesne poecie, a nazwane po imieniu: Bohdan jest Zaleskim, Seweryn Goszczyńskim i osoba Zaleskiego jest bliżej określona przez nazwanie go „poetą dumek";

---

[1]) Pisałem o tem mimochodem w recenzji wyd. Pawl. „Króla-D." („Myśl Narod.", marzec 1926).

w. 21 — 24 przyznają wpływ poezji Zaleskiego na obraz rusałek „w 1 pieśni rapsodu V-go".

Wszystko to prawda. Zostaje tylko jedna kwestja niejasna. Heljon, t. j. sam Słowacki, „ocknięty w duchu", tak powiada o wrażeniach wyniesionych ze śpiewu, zakończonego przed chwilą przez „wieszcza świętego":

„Zda się, że słyszę, jako w Dnieprze biją
żelazne słupy... widzę je pod wodą..."

Jakiż to „wieszcz święty" śpiewał o biciu słupów żelaznych w Dnieprze? Pawlikowski odnosi je do samego Słowackiego; domysł ten jest jednak conajmniej wątpliwy z dwóch względów: 1) Słowacki w tym urywku występuje pod imieniem Heljona, którem stale się obdarzał w pismach genezyjskich; jest on tu więc nie pieśniarzem, lecz słuchaczem, co zresztą widoczne jest i z dalszego ciągu urywku: „wszyscyśmy na to czekali", „a my słuchając". 2) Jeżeli słowa „zakończył śpiewak" odnieść należy istotnie — za Pawlikowskim — do zakończenia rapsodu IV-go, tedy stwierdzić musimy, że w rapsodzie tym niema ani słowa o biciu słupów w Dnieprze.

„Wieszczem świętym" nie jest też i Zaleski. „Dumek poeta" nie bierze prawie udziału w owej, że się tak nowocześnie wyrażę, audycji; siedzi gdzieś na stronie „ponury", a więc milczący, smutny i duchem niemal nieobecny, „sumujący w głowie" i wiążący „złote jakieś rytmów sznury". Tak jest robotą tą zajęty, że nawet nie słyszy prośby Heljona o komentarz w sprawie Rusałek. Heljon nie nazywa go przytem bynajmniej autorem „światłej sielanki", chce tylko piewcę „Rusałek" zapytać, jako eksperta, w sprawie rusałczanego wątku, którym brzmiał skończony przed chwilą epilog pieśni „śpiewaka". Nie mógł mu przypisać autorstwa pieśni o słupach i Dnieprze; takiej bowiem pieśni Zaleski nie napisał. Choć Dniepr bowiem często u niego wspomniany, jednakże autor „Dum i dumek" brał tematy z czasów zgoła innych, nie tak dawnych jak Bolesławowe. W jedynym poemacie, gdzie sięgnął w przeszłość tak zamierzchłą — w „Duchu stepu", który zresztą nie pozostał bez wpływu na twórczość Słowackiego, zwłaszcza na „Króla-Ducha", — zbył pradzieje Polski taką lakoniczną wzmianką:

„Na zgryzotę — wieki sławy
wieją synom od otchłani:
groźni, sępni a kochani,
pierworodne Bolesławy
stu zwycięskich walk hetmani".

Mniej tu o Bolesławach, aniżeli w pieśni Kochanowskiego „Kto mi dał skrzydła", mniej niż w pierwszym lepszym „katalogu królów i książąt" z wieku XVII. O Chrobrym, a więc i o biciu słupów, nie wspomniał Zaleski ani słowem. Choć więc autor „Króla-Ducha" skądinąd wiele zawdzięczał temu poecie, choć sam „Duch od stepu" mógł poddać mu zarówno pomysł ogólny jak tytuł dzieła, choć od Zaleskiego (z prospektu na ostatniej karcie „Poezyj" z r. 1841) mógł Słowacki przyswoić sobie, nieużywaną przedtem, nazwę „rapsodu" na oznaczenie pieśni nie śpiewaka, jednakże w pieśni o Chrobrym nie on mu był natchnieniem.

Twórczość Zaleskiego znał Słowacki oddawna i wybornie. Naśladował ją w „Dumce ukraińskiej" i „Pieśni czajek", wyśmiewał i gromił w „Beniowskim", krytykował w przedmowie do „Lambra" i w świetnym artykule „O poezjach Bohdana Zaleskiego" (1839 — 40), świadczącym nietylko, że autor „Krytyki krytyki i literatury" był bodaj-że najbystrzejszym krytykiem pomiędzy romantykami, ale nadto i najskrupulatniejszym czytelnikiem i znawcą poezyj Zaleskiego. Czyżby mógł zatem — *anno* 1846 lub 1847 — napisać o Zaleskim takie słowa:

„Jeszczem nie słyszał, jak gra twoje łono...?"

Słowa te najwyraźniej nam mówią, że „śpiewakiem", „wieszczem świętym" jest jakiś poeta młody, prawie debjutant, a przynajmniej nieznany dotąd Słowackiemu osobiście. Takim „wieszczem" był nie ktoś inny, tylko trzeci z trójcy „pasterzy", autor „Trzech wieszczb", Lucjan Siemeński. Wskazuje na to po pierwsze wzmianka o jego duchu, „który myśl dziś tworzy na te same prawa" (aluzja do zapisania się Siemieńskiego w poczet koła towiańczyków, gdzie zresztą nie bawił on długo), ale przedewszystkiem sama treść pieśni. Heljon wzywa śpiewaka, żeby „śpiewał dalej dzieje", wobec czego pieśń musiała być osnuta na tle historycznem, co więcej, na dziejach pierwotnych Polski. W pieśni słychać było nietylko bicie żelaznych słupów w Dnieprze, ale i „burzę krwawą" i rusałki, „co łabędzią szyją wiążą się, grają, taniec skoczny wiodą"; echo zaś pieśni brzmi „jak duchów przeszłości obozy". Wszystko to żywcem przypomina „Trąby w Dnieprze" Siemieńskiego — zwłaszcza ich zakończenie — i świadczy niezbicie, że on to, a nie kto inny, jest owym „wieszczem świętym", którego pieśnią tak zachwycił się Heljon-Słowacki. Siemieński więc, autor „Trąb w Dnieprze", był dla Słowackiego — co nas tu najwięcej obchodzi — nietylko inspiratorem, ale i głównym dostarczycielem wątku o Chrobrym.

(Dok. n.) JÓZEF BIRKENMAJER

SKRZYDŁA POEZJI

RYTM i rym nazwać można skrzydłami poezji, a to dlatego, że unoszą one i niosą utwór wierszowany zupełnie tak, jak skrzydła niosą ptaka: różną miarą, różnym lotem, różnym ciągiem i zasięgiem, ale zawsze ponad ziemią, zawsze w przejrzystym, wolnym żywiole powietrznym. Nie należy jednak rozumieć, że każdy utwór poezji, pisany rytmem i rymem, już przez to samo wzbija się w powietrze artyzmu i lata. Istnieją i pośród ptactwa okazy przyziemne, jak kury, kaczki i gęsi domowe, które przy każdej sposobności machają skrzydłami, ale o loty nikt ich nie posądza.

Znałem nawet takie stadko gęsi domowych, które przy każdym przedwieczornym powrocie z pastwiska, położonego na wzgórzu, przelatywały około dwustu metrów drogi powietrzem w linji pochyłej od krawędzi urwiska na rzekę, aby jej prąd zaniósł je wygodnie do zagrody. Ileż to wtedy na owem wzgórzu było gęgania i wrzasku!

Jakie przygotowania, jakie skrzydeł łopoty w czerwieniach zorzy obłocznej! Zdawałoby się, że to bojowy zastęp Walkiryj. Ale kończyło się zawsze cichem, zadowolonem gęganiem na podwórzu. Są otóż i w poetyckim zawodzie takie stadka, głośne wrzaskiem i jaskrawością reklamy, nikt atoli nie nazwie lotem ich zlatywania.

Jak w szczerym ptaku skrzydłami poruszają siły ducha ptasiego, tak i w szczerym poecie rytmem i rymem włada potęga ducha ludzkiego. Istnieje tedy przepastna różnica pomiędzy lataniem a bezdusznem machaniem skrzydłami, pomiędzy twórczością poetycką a układaniem rytmów i rymów. Jednakże pomimo tak stanowczego przesunięcia wagi do wewnętrznych dziedzin duszy, nie można zgodzić się na lekkie traktowanie rytmu i rymu, jako — niby — zewnętrznych tylko i formalnych środków artystycznych, do zdobienia treści przeznaczonych. Treść i forma są jednością z dwu różnych stron widzianą, a w rytmie i rymie tyle zawiera się treści poetyckiej, muzycznemi wartościami wyrażonej, że na nazwę formy nic tam już nie pozostaje.

Jak bezpośrednio łączy się twórczość poetycka z rytmem i rymem, o tem dość jasno poucza t. zw. natchnienie, czyli chwila powstania pierwszego pomysłu do dzieła sztuki, lub do jego części składowej. Pod wpływem tych czy innych bodźców poeta ulega wstrząsowi duchowemu o takiej sile i głębi, że wywołuje on w nim natychmiastową reakcję w postaci rytmu tanecznego i melodyjności śpiewnej. Można zapanować nad uzewnętrznieniem się reakcji, by do niego nie dopuścić, ale w nerwach postawa rytmu i zasadniczy ton śpiewu zawsze powstaną i tem trwalej w nich pozostaną. Otóż ten właśnie pierwszy, samorodny rytm i ton rozstrzygają o utworze, lub jego części, bo stanowią rdzeń, do którego wszystko dostosować się musi.

O takim przebiegu narodzin dzieła sztuki każdy przekonać się może z wielu zdarzeń życiowych. Oto, naprzykład, nagła wieść żałobna: dotknięty nią człowiek bezwiednie przybiera postawę, gesty, chód, ton głosu elegji posępnej. Albo — przeciwnie — nagła wieść radosna: cała zewnętrzność człowieka śpiewa wtedy ożywieniem, raźnością, swobodą, pogodą. Dzieje się to nawet u ludzi bardzo opanowanych, o ile, oczywiście, jakieś względy uboczne nie każą im szczelnie się zamaskować. Albo — dla patrjoty wieść o wybuchu wojny jego kraju z wrogim sąsiadem: duszę rycerską ogarnia wtedy rytmika tańca wojennego i okrzyków bojowych. Taką też pieśnią dziką, zachwycenia pełną jest jodłowanie góralskie, słów pozbawione, a rytmem i melodją barwniej od wszelkich słów chwalące krajobraz górski, nagle na szczycie oczom zdumionym objawiony. A i najprostsza dziewucha wiejska, zdradą ugodzona, rytmicznem wyciem w takt wichru jesiennego ból swój wyraża. I tak we mnóstwie zdarzeń, które każdy sam sobie przypomni. Dwie najpierwotniejsze i najbardziej rytmiczne sztuki, w których człowiek jest i twórcą zarazem i narzędziem — tancerstwo i śpiew tkwią w nerwach jego i mięśniach, jako fizjologiczna podstawa każdej jego sztuki i każdego jej dzieła żywego.

Wracając do narodzin utworu poetyckiego, zaznaczyć trzeba, że o jeden krok i o jedną chwilę dalej po pierwszej reakcji rytmu i tonu, w duszy urodzonego artysty do owego rdzenia rytmicznego, niby opiłki żelazne do magnesu, zbiegają się pokrewne wrażenia, wzruszenia i wyobrażenia, a przylegając doń, tworzą razem wiązkę sił wielozmysłowych, wzajem nierozerwalnych. Ta właśnie wiązka jest pierwszym zawiązkiem mogącego powstać utworu poetyckiego. Możnaby odróżnić w niej pewne obrazy malarskie, pewne nastroje tych lub owych krajobrazów i przeżyć, dźwięki, barwy, zapachy, poczucia mięśniowe, uczucia i stany duchowe — wszystko jednak w postaci mglistej henidy, dokoła której krążą oderwane pojęcia, myśli i nosiciele ich — słowa. Cała ta wiązka może trwać w duszy czas niejaki, dopóki albo użyta będzie w dziele sztuki, albo rozwieje się bez śladu w morzu pamięci.

Jeżeli z dość silnej i bogatej henidy wielozmysłowej powstaje wierszowany utwór poezji, to ma on już zgóry założony rytm i ton, postawę i barwę ogólną. Poczem następuje świadoma praca artystyczna o różnych kolejach. Może się zdarzyć, że do jednej henidy przywołuje artysta drugą i trzecią, albo same one objawiają chęci skupienia się w jeden krzew koralowy. Może również daleki od natchnienia, chłodny rozmysł artystyczny wiele rzeczy w powstającym utworze zmieniać i uzupełniać. Jedno tylko stale jest nieodzowne: zachowanie rytmu i tonu pierwotnych zawiązków henidalnych, w nich bowiem tkwi pierworodna treść utworu, z jej świeżością i oryginalnością, których niczem zastąpić nie można.

Skoro uznajemy bezspornie, że rytm i melodja, które są formą, stanowią także treść utworu muzycznego, to niema powodu do odmawiania treści rytmowi poetyckiemu, oraz rymowi, który w poezji zastępuje melodję. Rytm i melodja w muzyce dają słuchaczowi przeważną ilość wrażeń, wzruszeń i wyobrażeń, które w dzieło włożył artysta, a nadto — stanów duchowych i uczuć, czyli — podstawową treść utworu muzycznego. Rytm i rym w poezji, jakkolwiek znacznie uboższe, niosą w sobie również pewną ilość treści uczuciowej, nastroju, tonu, ruchu, postawy i barwy. Dla zobrazowania tej prawdy warto potrudzić się i jaki krótki a podniosły utwór poezji wiązanej rozłożyć na mowę prozaiczną, nie zmieniając słów, tylko inną im nadając budowę; przekonamy się wtedy naocznie, że razem z rytmem i rymem ulotni się z utworu: jego postawa, ton i gest i ruch, wiele z nastroju, kształtu, barwy i dźwięczności, a co dziwniejsza — dużo wartości uczuciowych, czyli wogóle — dużo treści poetyckiej.

Dla zachęty podaję taką przeróbkę znanej zwrotki Asnyka:

„Bezsilne złorzeczenia, trud próżny, żale daremne: żaden cud nie wróci do istnienia kształtów przeżytych. Z żywymi trzeba iść napród, po nowe sięgać życie, a nie z uporem stroić głowę w liść laurów umarłych!"

Ponieważ nic tu nie dodano, ani ujęto, więc pojęciowa treść zwrotki została ściśle ta sama. Ale zwrotka, jak podeptany kwiat, umarła. Kwiat i liście zwieszone, zwiędłe, pomarszczone, zbrudzone w barwach, bez zapachu, bez promieniowań energji, która w zwrotce autora porywa, wskazuje, zapala. Główna treść poetycka zwrotki znikła bez śladu, ale czy i pojęciowa jej treść nie ucierpiała na stopniu swojego napięcia i na sile działania? Stąd też przekłady na języki obce często bardziej liczą się z tożsamością treści muzycznej, niż lite-

rackiej, co widzimy, naprzykład, w przekładzie tej samej zwrotki Asnyka na rodzimą mowę p. Cyrulika Słonimskiego (pisownia polska):

Ferfał di Klaczkes! Kajn Geszeft!
Ferfluchte Konjunkture!
Szon gance Genszegasse szleft
In algemajne Dżure!
Man mus mit erst Brygade iszcz
Und trynken fajn Madere!
Nysz handeln myt bobkowy Liszcz
Cum Obwiepolens Ehre!

Bez żartu jednak, widocznie współczesna armja grafomanji polskiej składa się z ludzi pozbawionych słuchu muzycznego, skoro do swojej poziomej treści pojęciowej stosuje niedbałe rytmy i niby-rymy drewniane, asonansami nazwane. Coprawda, z drugiej strony, świadczy to o pewnem poczuciu harmonji: z brzydką treścią literacką niech idzie w parze brzydka treść muzyczna utworu. Z tego względu nie zwalczam, ale gotów jestem popierać asonanse i inne ułatwienia dzisiejszej poezji rynkowej. Niech pada w całości, nie będę jej podnosił. Uwagi moje dla innych są przeznaczone sfer poetyckich.

Nie mała jest, jak widzimy, rola rytmu i rymu, jako nosicieli treści muzycznej w utworze poezji wierszowanej. Są one, istotnie, skrzydłami dla wielu tych wartości poetyckich, wobec których same słowa mowy byłyby bezsilne. Rytm i rym unoszą i dzieło i czytelnika w kręgi ducha, do których nie ma dostępu mowa prozaiczna. Ale, i przedewszystkiem, unoszą tam one twórcę samego. W stylistycznym i gramatycznym charakterze prozy tkwi tyle realizmu, racjonalizmu i potoczności, tyle powolnej rozwagi umysłowej, tyle równości i poziomości, że bez ratunku giną w niej wszystkie co górniejsze porywy i zachwycenia rzetelnego poety lirycznego i dramatycznego. Taki poeta musi pisać rytmem i rymem, bo tylko one obudzać mogą mowę ludzką do odpowiednich skrótów i syntez artystycznych.

Te właśnie skróty i syntezy stanowią znamienną różnicę formalną pomiędzy poezją prozaiczną a wierszowaną, różnicę stylistyczną i składniową, która jest fizycznem odbiciem różnicy duchowej. Łatwo zauważyć, że poezja wierszowana z reguły unika zdań pobocznych i związanych z ich obecnością okresów, co wpływa na zanik w niej słów i form łącznikowych. Utwór wierszowany mówi przeważnie zdaniami głównemi, a z pobocznych — najprostszemi. Do takiej postawy stylistycznej zmusza rytm i rym, a jako bezpośredni skutek duchowy zjawiają się syntezy i skróty w dziedzinie wyobraźni, uczuć i myśli poety. A również odwrotnie: syntezy i skróty duchowe dążą do wyrażania się w zdaniach rytmicznych i dźwięcznych, a zatem — krótkich i rymowanych. Proza, przeciwnie, skłania się ku postawie analitycznej, wielosłownie i szczegółowo opisowej, ponieważ nie ma rytmu i rymu, któreby ją w ryzach zwartości trzymały. Albo odwrotnie: urodzony prozaik obiera sobie prozę, jako formę najbardziej dla swoich właściwości duchowych odpowiednią. W ostatecznym wyniku: poezja prozaiczna mówi, poezja wierszowana — śpiewa.

Śpiewu poezji wierszowanej nie należy brać dosłownie (oczywiście); porównanie to wyznacza tylko wzajemną odległość dwóch rodzajów poezji, analogiczną do odległości pomiędzy mową a śpiewem. W każdym jednak razie, o ile prozę należy czytać pocichu, w sobie, ażeby nie obciążać jej wielostronicową (zazwyczaj), nierytmiczną i niemuzyczną wielosłownością (która w bezdźwięcznem czytaniu tuszuje się nieco), o tyle poezję wierszowaną bezwarunkowo trzeba czytać głośno (a przynajmniej w sobie słyszeć wyraźnie jej rytmy i dźwięczności), — głośno, w tempie umiarkowanem z odpowiedniemi intonacjami, spadkami i pauzami, ale bez deklamacji teatralnej. Dopiero w głośnem, i prawidłowem odczytaniu utworu poezji wierszowanej występują na jaw wszystkie jego właściwości muzyczne i tkwiące w nich wartości duchowe.

Rytm i rym, a razem z nimi syntezy i skróty stylistyczne i duchowe wspólnie składają się na stworzenie tonu, który w poezji wierszowanej siłą rzeczy staje się górny. Albo odwrotnie i we właściwem spraw ujęciu: górny ton, panujący w duszy poety, siłą konieczności odnajduje swój wyraz w rytmie, rymie, syntezach i skrótach poetyckich. Tak czy owak w tem właśnie miejscu najdobitniej demaskuje się grafomanja, bowiem posługuje się ona rytmem, rymem, syntezami, skrótami, budową i całą wogóle armaturą poezji wierszowanej, ale nieprawnie, bo bez tonu górnego, a zatem — fałszywie. A na tym fałszu najłatwiej przyłapać ją przez głośne i najbardziej prawidłowe, najuczciwsze przeczytanie utworu. Wysypią się wtedy z niego, jak z beczki dnem do góry odwróconej, wszystkie jego kłamstwa i uchybienia, aż pozostanie samo pustką ziejące uroszczenie.

Rzetelny poeta z takim szacunkiem powinien zachowywać się wobec rytmu i rymu, jak rysownik wobec linji, a malarz wobec barwy. Pod warunkiem rzetelności ducha własnego, w rytmie i rymie odnajdzie poeta skrzydła swoje, — wielkie według własnej jego wielkości i według jego własnej mocy potężne, a w poszczególnych znamionach swoich i w ich zestawieniach tak różnorodnością bogate, że w nich najwytworniejsza dusza właściwym sobie wyrazem przemówić może. Rytm jako rysunek utworu, rym jako jego barwa, a razem jako muzyka poezji wierszowanej, pospołu z innemi t. zw. środkami artystycznemi traktowane nie jako forma (którą, jakoby, zlekceważyć można), ale jako treść narówni z innemi treściami poetyckiemi — oto w czem, zasadniczo, ma się wyrażać szacunek poety dla rytmu i rymu. A jeszcze i w tem, żeby rytm i rym były dźwięczne, w pełni harmonijne i zdrowe.

Zdrowe! Jakto, co to znaczy — zdrowe? Widzę, jak na to słowo ciska się skłębiona i zapieniona hurma wszelkiego rodzaju kalek współczesnej poezji reklamowej, rynkowej, asonansowej. Ha!... i ha!... Umiem na pamięć wszystkie argumenty ich gorączki gruźliczej i obłąkanej wścieklizny, przeciwko zdrowiu wymierzone. Większość tych argumentów z torby żydowskiej udzielona, bo „naród wybrany” wyłącznie tylko na swój użytek cześć dla zdrowia zachowuje, a na wywóz, na rozdanie obcym ma wielorakie wobec zdrowia zastrzeżenia, wątpliwości, drwiny, oszczerstwa i obelgi najgrubsze — do wyboru, zależnie od kultury nabywcy. Pomimo źródła tak podejrzanego, kalectwo czerpie z torby żydowskiej pełnemi garściami. I nie dziw! Jedyny-to jeszcze dla nieuleczalnych miraż zdrowia upragnionego — w tem, że oczernią cudze zdrowie istotne.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

LUIGI PIRANDELLO

LAUREAT NOBLA

NAGRODA NOBLA, którą przed kilku dniami otrzymał Luigi Pirandello, została mu przyznana głównie za jego twórczość dramatyczną, ze szczególnem uwzględnieniem kilku dramatów ostatniego okresu jego działalności, wśród nich znajdują się dobrze znane w Polsce: „Sześć postaci w poszukiwaniu autora" i „Henryk IV".

Obraz duchowy i sylwetka artystyczna Pirandella nie będzie jednak zupełna, jeśli nie weźmiemy pod uwagę jego twórczości poetyckiej i powieściopisarskiej. Pirandello zaczął od poezji: W r. 1888 wydał tomik p. t. „*Mal Giocondo*" („Radosne zło"), następnie „*Pasqua di Gea*" („Wielkanoc Gei"), „*Elegie renane*" („Elegje z nad Renu") i przekład „Elegij" Goethego. Trzeba dodać, że w owym czasie młody poeta odnosił się z pewną pogardą do twórczości dramatycznej, która po latach przyniosła mu laury.

Drugą epokę w życiu i twórczości Pirandella stanowi powieść i nowela. W powieści Pirandello debjutuje w r. 1894 opowiadaniem naturalistycznem „*L'esclusa*" („Wyklęta"), w której daje się wyczuć gorycz i posępna ironja. Ten sam pesymizm i gorzki humor cechuje i późniejsze jego pisma, między innemi znany zbiór nowel p. t. „*Quand'ero matto*" („Kiedy byłem warjatem") (1901). W r. 1904 ukazuje się powieść „*Il fu Mattia Pascal*" („Nieboszczyk Maciej Pascal"), powieść, która była pierwszym sukcesem Pirandella, przyjmowanego dotąd raczej chłodno zarówno przez publiczność, jak i przez krytykę. Jest to historja człowieka, który sfingował swoją śmierć, aby zacząć życie pod innem nazwiskiem i ze zmienionem obliczem: zwycięża go jednak życie, wraz ze swoim konwencjonalizmem i formalistyką. Człowiek bez legitymacji, bez dokumentów nie ma prawa żyć, a cóż dopiero kochać się lub żenić. W powieści tej maluje się jasno cecha charakterystyczna wszystkich, także i dramatycznych utworów Pirandella. Przeplata się tu ułuda z rzeczywistością, świadoma chęć stworzenia sobie iluzji, którą jednak na każdym kroku rozbija życie swojemi nieugiętemi prawami.

Od czasu wydania tej powieści datuje się wzmożona popularność Pirandella, choć droga do sławy dzisiejszego laureata była raczej trudna i powolna. Pirandello wydaje teraz kilka tomów nowel, powieść „*Suo marito*" (Jej mąż") (r. 1911), poezje „*Fuori di chiave*" („Nie na temat") i pisma teoretyczne „*Arte e scienza*" („Sztuka a wiedza"), i „*L'umorismo*" („Humor"), które dają nam poznać *credo* estetyczne autora. Następnie wychodzą nowe powieści: „*Si gira*" („Kręci się"), „*La trappola*" („Pułapka"), „*Un cavallo nella luna*" („Koń na księżycu"), „*Il carnevale dei morti*" („Karnawał umarłych"), „*Tu ridi*" („Śmiejesz się"), *Uno, nessuno e centomila*" („Ktoś, nikt i sto tysięcy") (w r. 1926).

Chociaż twórczość powieściopisarską związaliśmy z drugim okresem jego życia, rozumie się, jak zawsze w podobnych wypadkach, że niepodobna jest przeprowadzić ścisłej granicy między temi fazami. Pierwsze próby dramatyczne Pirandella sięgają roku 1911: Pirandello pisze dla jednego z mniejszych taatrów rzymskich „*Il dovere del medico*" („Obowiązek lekarza"), sztukę w jednym akcie; potem jeszcze dwie jednoaktówki. W r. 1915 ukazuje się na scenie im. Manzoniego w Medjolanie jego pierwsza trzyaktowa komedja „*Se non cosi*" („Jeśli nie tak"), a od roku 1916 pisze Pirandello w zawrotnem tempie, jedną po drugiej, sztuki dwu i trzyaktowe, z których najsłynniejsze są: „*Cosi é, se vi pare*" („Tak jest, jeżeli się wam tak zdaje", 1919), „*Tutto per bene*" („Wszystko, jak się należy", 1920), „*Sei personaggi in cerca d'autore*" („Sześć postaci w poszukiwaniu autora", 1921), „*Enrico IV*" („Henryk IV", 1922), „*Vestire gl'ignudi*" („Nagich przyodziać", 1922), „*Ciascuno a suo modo*" („Każdy na swój sposób", 1924), „*La giara*" („Puhar", 1925), „*Lazzaro*" („Łazarz", 1929), „*O di uno o di nessuno*" („Jednego lub niczyja", 1930), „*Quando si é qualcuno*" („Gdy się jest kimś", 1933); w roku 1934 powstała niewystawiona jeszcze sztuka „*Non si sa come*" („Niewiadomo jak").

Dzieła dramatyczne, jakkolwiek ukazały się na scenie, kiedy Pirandello był już znanym powieściopisarzem, nie odrazu zostały entuzjastycznie przyjęte. Pierwsza poznała się na nim krytyka rzymska, i dopiero za nią, po latach, wyraziły uznanie wielkiemu dramaturgowi całe Włochy i zagranica. Pirandello jest pisarzem trudnym: nie pochlebia publiczności, nie upraszcza problemów, nie ułatwia zrozumienia rzeczy zawiłych. Zanim widz nie uchwyci najgłębszej podstawy sztuk Pirandella, t. j. rozdźwięku między iluzją, która jest urokiem życia, a rzeczywistością, która jest jego koniecznością, wychodzi z przedstawienia zdezorjentowany i zmieszany tem, że nie podano mu ani wątku łatwego, jak w skeczu, ani prostego morału w konkluzji, ani czegoś, coby przypominało *happy end*, do którego kino przyzwyczaiło współczesną publiczność. Ale poddając się bezpośrednio urokowi sztuki, widz zaczyna odnajdywać kontakt między sobą a autorem, zaczyna pojmować tę ułudę, która niekiedy bywa prawdziwszą od rzeczywistości, zaczyna rozmyślać nad tą rzeczywistością, która ma niejedno oblicze, która więc ma wiele form ułudnych... I każdy odnajdzie jakąś cząstkę własnych myśli i przeżyć w słowach, któremi Pirandello określił swój stosunek do sztuki:

„Myślę, że życie jest bardzo smutnem błazeństwem, ponieważ mamy w nas samych, nie wiadomo jak i skąd, konieczność ciągłego oszukiwania się, tworząc sobie dobrowolnie rzeczywistość (każdy inną dla siebie), która stopniowo okazuje się próżna i zwodnicza. Kto zrozumiał grę, ten nie potrafi się już oszukać; ale kto nie potrafi się oszukać, nie widzi już smaku ani rozkoszy w życiu... Sztuka moja jest pełna gorzkiej litości dla tych wszystkich, którzy się łudzą, ale za tą litością musi następować wyśmianie losu, który skazuje człowieka na złudę".

[Egisto D'Andreis =] D'ARMILI

NA WIDOWNI

Ruch emigracyjny do Średniowiecza. — Rzeczywistość i Prawda. — Odzyskiwanie własności wewnętrznej. — Kolektywizm i indywidualność. — Powrót do wartości. — Jak do tego doszło i jakie wyjście. — Niezawodna karjera.

SIADAM do pisania pod wrażeniem paru listów, z któremi zwrócili się do mnie w zaufaniu przyjaciele „Myśli Narodowej". Skoro mam możność posługiwania się drukiem, to może pozwolą mi autorzy listów, że odpowiem ryczałtem. Niech sobie każdy weźmie do siebie, co mu potrzeba i niechaj dyskusja będzie publiczna.

Nie pamiętam takich czasów, jak dzisiejsze, żeby ludzie czuli się tak prowizorycznie. Ten niepokój o jutro i w tych listach, które odebrałem, jest uderzający. Ludzie prości w dawnych czasach oczekiwali w takim nastroju końca świata. Może i gdzieindziej dzieje się w duszach coś podobnego, u nas jednak widoczny jest wpływ warunków politycznych. Tak wyczuwają konie niepewną rękę woźnicy, który sam nie wie, w którą stronę skręcić. Ludzie czują, że w ten sposób daleko nie ujadą. Społeczeństwo, pragnące steru historycznego, nie może mieć ufności, że ktoś wogóle myśli o przyszłości. Ten nastrój niepewności udziela się wszystkim dziedzinom myślenia i pracy. Gdy wszystko idzie ku czemuś nieznanemu, to jak się do tej przyszłości przygotować? Co robić z potomstwem, jak je wychowywać? I wogóle co dalej, gdy powiadają, że wszystko się urywa? Robić skok w próżnię? Może lepiej cofnąć się. Powiadają, że Sredniowiecze było wcale dobrą epoką...

Ciekawe historje wyczytuję w listach na powyższe tematy i jakie znamienne! Ludzie przyziemni, gdy bieda dobodzie, myślą o emigracji do obcych krajów. Inteligencja, jako że powołana jest do kierowania dziejami, przynajmniej do myślenia o nich, — emigrować chce w inne czasy. Jest w tem pragnieniu ucieczki ze współczesności sporo paniki, ale też i pewna doza refleksji, że się za daleko zabrnęło w sytuację, z której nie widać wyjścia, że więc trzeba się cofnąć na zawczasu upatrzone miejsce.

„Średniowiecze" — to przecież jakiś skrót retoryczny. Czasu się nie cofnie. Musimy iść naprzód, jeno zmieniwszy ducha dziejów. Ja myślę, że tutaj człowiekowi naszych czasów chodzi głównie o odnalezienie siebie samego, bo się zgubił w dziejach. On czuje, że życie cywilizacji przeniosło swoje punkty ciążenia z człowieka gdzieś daleko na zewnątrz, że o człowieku zapomniało.

Życie ludzkie spadło w cenie w czasie wojny: za dużo jest ludzi, za ciasno, niepotrzebni są, przeszkadzają. Wszystko zrobi maszyna bez nich. Za czem poszło, że instytucje przybrały naturę maszyn, gdzie ludzie są tylko śrubkami; ustrój państwowy jest właściwie wielką maszyną, która wszystkie instytucje może w siebie wcielić, maszyną tak precyzyjną, że jeden człowiek może ją obsłużyć. Ludzi ma się za nic, o godności ludzkiej niema z kim mówić. Człowiek zużyty jest, jak włókno do pasów transmisyjnych i zdziczał nie z samotności, lecz przez to, że wyprowadził się z siebie nazewnątrz.

Dopokądże te maszyny iść będą nabytym rozpędem, gdy życie, w ludziach przecież utajone, służy tylko do obsługi, albo gdy i tej potrzeba ustaje, — idzie na szmelc bezrobotności? Racja. Ale któż to wszystko zrobił? My tylko odrobić to wszystko możemy. Trudno przecież uciec od siebie, od swojej rzeczywistości. Do siebie też zabrać się musimy, aby znaleźć wyjście. Droga przez wnętrze.

— — — — — — — — — — — —

Zdaje mi się, że wyrazem „średniowiecze" zastępujemy sobie słowo: „prawda". Któż zaprzeczy, że na spodzie wszystkiego leży jakiś niesmak zakłamania? Mówią ludzie o poczuciu „rzeczywistości", żeśmy je zatracili. Ja nie chcę tego wyrazu używać, bo mi zbrzydł. Tyle się mówi o tej rzeczywistości, a nawet rzeczywistej rzeczywistości, że już tego nikt nie rozumie. Zrobiono z „rzeczywistości" ideał poznawania. Kto chce być dzisiaj prorokiem w polityce, czy w literaturze, wspina się na szczyty poznawania „tego, co jest", współczesności, rzeczywistości. Czy na to, by ją krytykować? Nie. Na to, by ją aprobować.

Zarysowują się w ten sposób w umysłowości dwie tendencje: pędu za współczesnością arrywistyczną (aby dalej, na łeb, na szyję) i tęsknoty do czegoś utraconego, coby mogło być ostoją. To coś nazywa się prawdą. W tej chwili mamy porę budżetu. Jest on przecież rzeczywistością, ale czy jest wyrazem prawdy żywej? Każdy człowiek żyje według jakiegoś budżetu duchowego. Czy budżet dzisiejszego człowieka jest prawdziwy? Jest on rozpaczliwie rzeczywisty, ale nie prawdziwy. Ekspensy duchowe nie stoją w żadnym stosunku do bogactwa wewnętrznego. Deficyt. Kryzys. Groza bankructwa.

Powszechna jest wśród Polaków tęsknota do życia wiejskiego, wyrażająca się w żądzy posiadania kawałka ziemi (ogródek, kwiaty, czyste powietrze, słońce, gwiazdy). O tym, kto się marzeniom wiejskim oddaje, mówimy: dobra krew, potomek rolników. Otóż tęsknota do jakiegoś kawałka prawdy wewnętrznej świadczy podobnie o szlachetności typu kultury. Nie stać nas na te wielkie posiadłości, które sobie preliminujemy w sztucznym budżecie; niechby się odzyskało choćby odrobinę równowagi, najskromniejszy byt duchowy, ale własny, samostarczalny, bez blichtru zewnętrznego, pod którym kryje się żebractwo, — byt oparty na własnych siłach moralnych z głębokiem niebem wartości. Takie pragnienie jest duchowym pierwowzorem potrzeby własności wogóle. Ona jest potrzebna do wyrostu osobowości, bośmy się wyzuli z własności wewnętrznej, którą stanowią takie wartości, jak zdolność miłowania i przywiązania, zdolność kierowania się zasadami, bezpośredni stosunek do ideału, honor narodowy, godność osobista, a przedewszystkiem ambicja dawania z siebie *maximum* użyteczności. Takie wartości są jedyną własnością, której nikt odebrać nie zdoła. One są dla jednostki przystanią, twierdzą, ale przedewszystkiem wytwórnią. Człowieka, który posiada w sobie taki ogródek wartości, nazywają jednostką wartościową, wytwarzającą użyteczności wartościowe. Tylko tego typu pokolenie zatrzymać może społeczeństwo, staczające się po pochyłości, nad przepaścią bankructwa.

Zginie cały dorobek cywilizacji na wyniszczonych podstawach bytu materjalnego, jeśli ludzie nie wycofają wczas dusz swoich z obecnego kolektywizmu, czyniącego z nich motłoch, z wy-

ścigu o to, kto lepiej wyeksploatuje dobro publiczne, wyścigu na przebiegłość, siłę, zdolność techniczną, z wyścigu, w którym gubić trzeba po drodze wartości, aby zbytnio nie obciążały. Eksploatacja odbywa się pod hasłem czerpania jaknajwiększych dla siebie korzyści przy jaknajmniejszem wydatkowaniu sił, to znaczy przy jaknajmniejszej użyteczności z siebie dawanej. Stopniowo dochodzimy do tego, że gdyby nie lud prosty, który instynktownie trzyma się idei pracy, zanikłaby w społeczeństwie tradycja tej najpotężniejszej funkcji życia, streszczającej w sobie całą wartość duszy ludzkiej. Idea pracy ginie w prądzie spekulacji, wyzysku, kradzieży i rozboju. Inteligencja polska, jeśli jej nie stać na współzawodnictwo w tym trybie, czeka na synekurę. Sposób myślenia ustala się już taki, że do głowy nie przychodzi, coby człowiek z siebie mógł dać, bo zajęty jest myślą, coby mógł wziąć. Szuka użyteczności chwilowej dla siebie, nie zdolny do dawania trwałej użyteczności z siebie.

— — — — — — — — — — — — —

Zaczęło się to nie od dziś. Polska odbudowana dostarczyła tylko żeru ludziom z duszy wyzutym. Zło zaczęło się znacznie wcześniej, od czasu inwazji haseł socjalistycznych, wzywających do walki z własnością indywidualną. Był to pogrom cywilizacji; przewalił się ciężką falą przez Europę, aby znaleść dla siebie miejsce na wschodzie jako rzecz do Azji przynależna. „Mieńszewicy" ocalili oportunistycznie dla siebie coniebądź własności materjalnej, ale najwięcej spustoszeń dokonali w dziedzinie owej własności duchowej. Przeszła tędy fala „przewartościowywania". Taksatorami byli żydzi. Wszystko, co było i zawsze będzie największą wartością naszej cywilizacji: wiara, miłość Ojczyzny, zasady moralne — wszystko uległo zakwestjonowaniu. W wolnej Polsce obrona tych dóbr stała się jeszcze trudniejsza. Dziś już nie doktrynę zwalczać musimy, ale akcję regularną, wyzuwającą nas przy pomocy żydów z własności wszelkiej i tytułów do niej. Przewaga czasowa musi być po stronie tych, którzy się rządzą zasadą „cel uświęca środki", zwłaszcza gdy temi środkami udało się zawładnąć w największej mierze.

Gatunek ten musi się wyczerpać i zbankrutować, ale żebyśmy ze swoją cywilizacją nie zginęli pod gruzami, musimy z podwójną gorliwością pracować nad odbudowaniem swojej osobowości. Trzeba być czemś osobiście — nie przez los wygrany, wyszachrowany, wyżebrany czy ukradziony. Trzeba się schronić do swoich posiadłości wewnętrznych, z których nas pragną wywłaszczyć. Tam jest nasza własność wieczysta w wartościach, któremi społeczeństwo uratować możemy. Leżą przed nami dwa zadania: pomnażać swoją wartości bronić ludzi wartościowych. Wartości są wieczne. One przetrwają kombinatorów użyteczności.

— — — — — — — — — — — — —

W zasadniczym związku z tem zagadnieniem „średniowiecza" pozostaje sprawa wychowania. Jest to sprawa, której w paru wierszach nie sposób nawet zamarkować. Skoro już doszło do tego, że żydzi bezpośrednio dopuszczeni zostali do wywłaszczenia nas z dóbr duchowych, to jest nad czem głęboko się zastanowić. Ale tutaj odpowiem krótko na list pewien, pełen troski o to, jaki zawód doradzić synowi po ukończeniu szkoły.

Nie umiem wskazać takiego zawodu. Próżno stukać w palce, jeśli chodzi o loterję życia. Znam jednak jeden sposób niezawodny zrobienia w Polsce karjery uczciwej: zrobić z siebie człowieka wartościowego. Znaczy to tyle, co zrobić się niezbędnym.

Wielu jest w Polsce ludzi, szukających posady, wielu jest ludzi z wysokiemi kwalifikacjami szkolnemi, ale mało jest takich, którychby poszukiwało się ze względu na solidność charakteru. Wszystko jest loterją, to jedno jest „pewniak", na tem się nigdy nie straci, mianowicie: być odpowiedzialnym człowiekiem.

Odpowiedzialny człowiek — to właśnie taki, jak wyżej mówiłem, właściciel dobrze urządzonego gospodarstwa duchowego, któremu można dać nieograniczony kredyt moralny, — człowiek wartościowy. W tym kierunku sposobiąc się do życia, najmniej ryzykujemy. Albowiem taki człowiek zawsze z jednej strony jest kryty, mianowicie nie ma zatargów z samym sobą, a te są zatargi najczęstsze i najcięższe. Znajdując nagrodę za wszelkie niepowodzenia w swojem bogactwie duchowem, potrafi się ograniczyć bez tragedji, zawsze znajdzie pracę, a choćby najskromniejsza da mu zadowolenie i szacunek u ludzi. Wszystko inne jest loterją.

Najtrudniej w Polsce o ludzi, mających samoistny byt m o r a l n y, zdrowych na duszy i na ciele. Najtrudniej o człowieka, któremuby wykształcenie nie odbierało zdrowego rozsądku, o człowieka, któryby stał na własnych nogach i nie miał pretensji do losu, że na jego numer nie pada wygrana.

Złączyć swój los z losami narodu, pilnować jego dobra na każdym posterunku — w poczuciu tego posłannictwa jest już sowita zapłata.

Przenieście myśl dziecka ze zgadywanej przyszłości na drogach świata, na drogę do jego własnego wnętrza, aby tem myśl zajęło, co ma z sobą zrobić, aby się stać człowiekiem wartościowym, przez to użytecznym i niezbędnym. Przenieście jego ambicję z pola walki o prawa na pole rywalizacji o lepsze spełnianie obowiązku, przenieście jago układność z krętych ścieżek kompromisów ze światem — na krótszą metę uzgodniania się z własnem sumieniem, a otworzycie mu drogę do życia wewnętrznego, gdzie jest pewność, spokój i zadowolenie. Życzycie mu szczęścia? Gdzież go szukać jak nie tutaj? Wtedy, odszukawszy siebie, ogarnięty będzie jasnością tej prawdy, że są dwie potencje, wzajemnie sobie mocy udzielające: mój świat wewnętrzny i naród, który mnie wchłania, aby mi dać tem pełniejszą osobowość.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

DZIEŃ 11 LISTOPADA należy bezsprzecznie do tych, które nakazują spojrzeć w perspektywę czasu. Przypatrując się temu wszystkiemu, co się wokół nas dzieje, dochodzimy do wniosku, że perspektywa ta rozporządza bardzo słabemi szkłami... Ciągle, aż do znudzenia obracamy się wokół spraw ostatnich lat dwudziestu, i to rozgrywających się na bardzo wąskim odcinku.

Gdy się np. bierze do ręki takie dzienniki „sanacyjne”, które przecież mają pełnię możności wypowiedzenia się, odnosimy wrażenie, że posiadają one stereotypowe matryce, przyszykowane raz na zawsze. Zgóry więc wiemy, jakie tam ujrzymy ilustracje, jakie artykuły i jakich autorów, jaki frazes i ornament ma być ich ozdobą, jaki był, wreszcie, przebieg uroczystości. Różnica z poprzedniemi latami jest tylko ta, że program ich zdaje się być bardziej uporządkowany, a nawet już ustalony ostatecznie i to nie przez jakieś przypadkowe zebranie, ale taki „Instytut propagandy państwowotwórczej” czy sławny już, często wspominany „Komitet propagandy czynu polskiego”, nie licząc wielu innych podobnych instytucyj, rozporządzających wcale pokaźną literaturą, zbiorami życiorysów, szablonów uroczystości, wierszy, wierszyków, deklamacyj, melodeklamacyj, symfonij Maliszewskiego, stosu frazesów i t. p., i t. p...

Wszystko to jest robione i zbierane w ściśle określonym celu wysuwania na plan pierwszy wypadków lat ostatnich, mających jakoby niesłychane wartości pedagogiczne i pobudzających uczucie „dumy państwowej”.

Nie będziemy w tej chwili snuli rozważań nad skutkami tej propagandy, zastanówmy się jedynie przez chwilę nad tem niesłychanem kalectwem myślowem, które nie pozwala sięgnąć głębiej, wstecz, pokazać całą świetność historji Polski, a tylko stale, uparcie, z jakąś dziwną lubością obraca się wokół wydarzeń współczesnych, sięgając najwyżej od czasu do czasu do okresu... niewoli, poto zresztą jedynie, ażeby poszukać w nim odskoczni do rozważań i propagandy, związanej z polityką bieżącą.

Zdarzy się, prawda, że się przypomni, i to wyłącznie w formie, frazesu jakiś moment, częściej już postać z tysiącletniego naszego życia — przeszłość więc tylko ma w takim wypadku znaczenie jakiegoś reklamowego neonu, zachwalającego niejako handlowo, wciąż jedno i to samo.

Owa zastanawiająca ignorancja w stosunku do przeszłości, nieznanie jej i jakaś niewiara w wartości, które posiada, wprawia nieraz niektórych w prawdziwe kłopoty. Niedawno na łamach „Myśli Narodowej” omawiano uwagi jednej z pań (doktora muzykologji!), która rozpacza, że nasz rynek księgarski nie jest zawalony „państwowotwórczą” lichotą muzyczną, jakiej np. produkcja w Niemczech, podczas jednego tylko roku rządów Hitlera, osiągnęła już doprawdy rekord, może nawet i światowy. Pani ta zapomniała, iż celowi kształcenia Polaków i obywateli doskonale wystarczy wielka nasza twórczość muzyczna, i niema żadnej potrzeby sięgać po różnego rodzaju wiązanki, „sałatki” (!) i im podobne, które się produkuje na użytek tak rozpowszechnionych szkół wychowania państwowego, jakiemi są poprostu... akademje, owe „akademje” w każdej szkole powszechnej, czy żłobku dziecięcym...

Nic więc w tem nie będzie dziwnego, gdy, żyjąc w takiem odurzeniu frazeologicznem, dojdziemy wkrótce do takiego stanu, że nie będziemy umieli zdać sobie sprawy z tego, czy przyjazd do Warszawy Kesslera był wydarzeniem na miarę Grunwaldu, czy też Grunwald na miarę przyjazdu Kesslera...

A wówczas, zapewne, wszelkie instytucje propagandowe będą zwinięte, cel ich bowiem zostanie osiągnięty.

DOKUMENT

KLUB NARODOWY w Sejmie zgłosił dn. 6 listopada b. r. następującą interpelację:

„Osoby, więzione w miejscu odosobnienia w Berezie Kartuskiej, traktowane były z zastosowaniem udręczeń moralnych i fizycznych, obrażających godność osobistą więzionych i podkopujących ich zdrowie.

Komendantem obozu mianowany został podinspektor p. Bolesław Greffner, znany społeczeństwu poznańskiemu z roli, jaką odegrał w Poznaniu podczas wypadków w dniu 19 marca 1931 roku na pl. Wolności i w podwórzu komendy policji.

Według postanowienia prokuratara poznańskiego sądu okręgowego z dnia 30 czerwca 1931 roku stwierdzone zostało, że w odpowiedzi na skargi bitych obywateli podinspektor Greffner powiedział: „durnie policjanci, mało bili”. Postanowienie to stwierdziło również, że w czasie, kiedy w podwórzu komendy policji ukryci policjanci bili aresztowanych obywateli, podinspektor Greffner był obecny w gmachu komendy.

Warunki odżywiania więzionych w obozie odosobnienia były znacznie gorsze od tych, jakie ustalone zostały rozporządzeniem ministra sprawiedliwości dnia 20 czerwca 1931 roku, a które obowiązują nawet w stosunku do osób, skazanych za ciężkie zbrodnie i pozbawionych praw obywatelskich. Jako pożywienie dostarczano więzionym m. in. niedopieczony chleb, robaczywy groch, słoninę z robakami. Chorym nie pozwalano na stosowanie diety. Wychodzącym zrana na pracę poza obozem, początkowo, przez kilka tygodni dawano obiad dopiero o godzinie piątej po południu. Nie pozwolono na otrzymywanie paczek z żywnością.

Warunki zdrowotne były nie mniej uciążliwe. Odosobnieni nie mieli ani łóżek ani prycz. Sienniki bez poduszek leżały bezpośrednio na podłodze. Nie pozwalano używać szczoteczek do zębów, a mydła, nie dawano w ciągu kilku tygodni. W celach nie było wolno siadać na siennikach, a tylko na gołej podłodze.

W karcerze, do którego wsadzano za drobne przewinienia, jak np. za posiadanie jakiejś drobnostki, uwięzieni spali na gołej podłodze, w małej, zupełnie ciemnej i wilgotnej celi, skąd nawet po krótkim pobycie wychodzili tak osłabieni, że nie mogli utrzymać się na nogach.

Aresztowanych zmuszano do ciężkiej pracy fizycznej w samym obozie i poza obozem. Musieli oni prócz tego wykonywać czynności najbardziej przykre, gdyż kazano im porządkować ubikacje i myć gołemi rękami spluwaczki nietylko własne, lecz także używane przez policję.

Bito uwięzionych przy każdej sposobności: bito na korytarzach obozu, kiedy więzieni biegli na rozkaz policji, bito przy pracy, kiedy wycieńczeni fatalnemi warunkami odżywiania i pomieszczenia więźniowie nie mogli sprostać ciężkiemu wysiłkowi fizycznemu. Bicie to nie stanowiło wyjątku, lecz było wykonaniem zasad postępowania, ustanowionych przez władze obozu. I tak zaraz, po przywiezieniu pierwszej partji uwięzionych podinspektor Greffner w ich obecności zwrócił się do policjantów z poleceniem, aby „walili prosto w łeb” w razie, jeżeli uznają to za potrzebne. Nadto jeden z zastępujących p. Greffnera komisa-

rzy policji, przyjmując nową partję uwięzionych, odezwał się do nich: „świat nie widział tego, co my tu wam urządzimy”.

Największem okrucieństwem w traktowaniu uwięzionych odznaczyli się posterunkowi:

Franciszek Markowski (K. G. Nr. 186),

Mieczysław Sitek (K. G. 198),

Bosowski (K. G. 230), oraz starszy przodownik Szymborski (Nr. 9).

Nadzór nad obozem odosobnienia w Berezie Kartuskiej sprawował wojewoda poleski p. Wacław Kostek-Biernacki, będący na tym terenie najwyższym przedstawicielem rządu polskiego, który często odwiedzał obóz i nietylko badał ogólne warunki tam panujące, lecz wnikał w drobne nawet szczegóły postępowania z aresztowanymi.

Stosunki, panujące w Berezie, nie były obce centralnym władzom politycznym. Dowodzi tego pobyt w obozie dyrektora dep. pol. min. spraw wewn. p. Kaweckiego, który mającym opuścić obóz aresztowanym groził ponownem osadzeniem, jeżeli będą opowiadać o tem, co przeżyli w Berezie. Tem samem stwierdził wymieniony urzędnik, że pośredni sprawcy tych stosunków sami uważali je za bezprawne i niegodne.

Powyższe wypadki znęcania się nad ludźmi bezbronnymi, którym nietylko nie udowodniono żadnej winy, lecz których czyny nie były przedmiotem sądowego postępowania, — są rażącem pogwałceniem art. 98 Konstytucji, stanowiącego, że „kary, połączone z udręczeniem fizycznem są niedozwolone”. Traktowanie uwięzionych w obozie odosobnienia w Berezie Kartuskiej stworzyło dla ludzi nie skazanych żadnym prawomocnym wyrokiem sądów Rzeczypospolitej katorgę, gorszą od tej, jaką znała carska Rosja.

Podpisani zwracają się do Pana Prezesa Rady Ministrów z zapytaniem:

Czy powyżej opisane fakty nieludzkiego postępowania z przebywającymi w miejscu odosobnienia w Berezie Kartuskiej były wykonaniem poleceń rządu?

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA LITERACKIEGO

Nagrodę im. Orzeszkowej, udzielana przez Warszawskie Tow. Literatów, otrzymała w tym roku Marja Rodziewiczówna. — Nagrodę im. H. Łopacińskiego lubelskiego Zw. Pracy Kulturalnej otrzymał prof. Uniwersytetu Warszawskiego Juljan Krzyżanowski. Ostatnią pracę uczonego „Romans polski w XVI wieku” wydało Lubelskie Tow. Przyjaciół Nauk.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Jako czwarty tom redagowanej przez prof. Juljusza Benesica, „Bibljoteki Jugosłowiańskiej“ ukazał się Gundulic'owy „Osman“ — chluba starochorwackiej literatury w starannym przekładzie p. Czesława Jastrzębca - Kozłowskiego. Wydano poemat w Warszawie w „Domu Książki Polskiej“ bardzo gustownie, dając parę ilustracyj, wśród których brak niestety apokryficznego choćby portretu Gundulic'a, lub przynajmniej reprodukcji jego pomnika w Dubrowniku.

Sam poemat, choć pięknie przełożony, nie może dziś liczyć na większe rzesze czytelników; reprezentuje on zanadto odległy i przebrzmiały smak poetycki — sięgną po niego tylko, zapewne, miłośnicy Jugosławji lub badacze literatury XVII wieku, bo tematy wpływu Tassa, promieniowania kultury polskiej, porównania „wojen Chocimskich“ Potockiego i Krasickiego z „Osmanem“ narzucają się poprostu. Ciekawszemi dzisiaj od samego poematu są wydano przy nim dwa doskonałe studja—jedno o Gundulic'u prof. Milana Resetera i drugie o „Rękopisach i przekładach Osmana w Polsce“ Wacława Parkoffa. Z tego ostatniego dowiadujemy się, że Gundulić nie miał u nas szczęścia, tłumaczono go u nas tylko kawałkami, a gdy wreszcie w r. 1848 Karol Brzozowski dokonał całkowitego przekładu „Osmana“, dosyć dobrego, bo pochwalił go Mickiewicz, to nie mógł on ukazać się w druku, bo spłonął w czasie drezdeńskich zamieszek „wiosny ludów”. Tak więc, poemat mówiący o Polsce i śpiewający polską chwałę, był nam prawie zupełnie nieznany. Wydrukowany wtedy zyskałby napewno wielu czytelników i wywołał żywe echo — dziś zjawia się trochę zapóźno, nieco jak muzealny zabytek. W każdym razie dobrze się stało, że mamy przekład „Osmana“, bo zawsze „lepiej późno, niż wcale“.

Jako następny tom zapowiada „Bibljoteka“ rzecz nowszą: Borisawa Stankowic'a „Nieczystą krew“. Z niecierpliwością oczekujemy ukazanie się tej najlepszej serbskiej powieści, tak dziś aktualnej przez poruszony w niej problem rasy. (K. S. F.)

MUZYKA

„MITY” Szymanowskiego (*La Fontaine d'Arethuse, Narcisse* i *Dryades et Pan*) zajmują we współczesnej muzyce pozycję wyjątkową. W momencie bowiem, w którym nowe koncepcje twórcze odsunęły na bok skrzypce, nie mogąc sobie wyobrazić, ażeby można było wydobyć z nich nowe możliwości, gdy poczęto traktować je z pobłażaniem jako pozostałość wirtuozyjnej epoki, staruteńkiej już i przeżytej, gdy pozostawiono je Kreislerowi i jego manjerze, Szymanowski, jeden z bardzo nielicznych, nie poddał się suggestji tych poglądów, dzięki czemu, zastanawiając się nad istotą instrumentu i charakterem jego brzmienia, potrafił wydobyć zeń efekty zupełnie dotychczas niespotykane. Artysta nie uląkł się płytkiego zarzutu, stawianego skrzypcom, jakoby zmysłowa ich natura wykluczała jakiekolwiek zdobycze idące po linji współczesnego wyrazu. W *La Fontaine d'Arethuse* dosadnie pokazał, że tak nie jest, podkreślił to silniej w trzecim z kolei poemacie z cyklu „Mitów”, a w *Narcisse* nie odrzucił nawet tej zmysłowej strony, potęgując ją jeszcze nawet i osiągając tem samem niezwykle silną ekspresję.

Strona programowa tych dzieł, pełna prawdziwej, niekłamanej poetyczności, przesycającej każdy takt, nie pozwala na czynienie z nich jedynie olśniewających popisów w stylu „Kaprysów” Paganiniego. Taki bowiem sposób „inter pretacji” dyskwalifikuje zupełnie grającego. Dlatego też ten niezwykły trud wykonywania „Mitów” nie polega jedynie na pokonywaniu zadań natury technicznej; tego rodzaju bowiem ułatwienie sobie sp“awy, jak się mamy możność niejednokrotnie przekonać, zawodzi zupełnie. Tylko skrzypkowie o prawdziwej kulturze umieją odtworzyć zamierzenia kompozytora.

Do takich należy bezwątpienia Jadwiga Umińska, ogromny, szczery talent, mówiący do nas bezpośrednim, pełnym prostoty, a jednocześnie niepospolitego majsterstwa językiem. W jej wykonaniu trzy, użyjmy tu najistotniejszego określenia, cudowne poematy mają swą barwę i plastykę głębokiego wyrazu, nie zatracając jednocześnie konstrukcji utworów, tak zadziwiająco zwartej i nie rozpływającej się w masie uchwyconych i zanotowanych wrażeń impresyjnych.

Wykonywanie „Mitów” posiada jeszcze tę trudność, że akopanjament nie jest traktowany w nich jako tło, partja drugoplanowa. To też bardziej, aniżeli w innych utworach, skrzypce i fortepian stanowią tu całość, mały zespół, który musi być najzupełniej zgrany i przeniknięty jedną koncepcją.

Czyni to zadanie niebylejakiem, z powodu którego cierpi zwykle i kompozytor i wykonawcy. Tym razem jednak przy fortepianie był prof. Jerzy Lefeld, który, przyznajmy, pojmuje swoje zadanie, jak należy. Jedynie wykonywaniu pasażów pierwszego poematu możnaby zarzucić lekkie zamazywanie pedałem, przez co zacierała się nieco wyrazistość obrazu.

Piątkowy koncert symfoniczny, poza świtenąą grą Umińskiej, nie posiadał ciekawych momentów. Dyrygent Sidney

Beer nie potrafił wydobyć mocniejszych, czy nawet tylko ciekawszych momentów granych utworów, które czy to siłą, swego wyrazu (ósma symfonja Beethovena), czy to bogatą instrumentacją („*La mer*" Debussy'ego i „Walc" Ravela), aż się prosiły o wydobycie wszystkich wartości, które w nich tkwią.

W. NARUSZ

FILM

PAN: „Co mój mąż robi w nocy?", reż. M. Waszyński.

To jest farsa. Farsa niejako z konieczności, gdyż dosadne efekty farsy bardziej przystępne są dla umysłu reżysera, pana Waksa-Waszyńskiego, niż jakiekolwiek inne pomysły. Ale nawet z tego punktu widzenia rozpatrując całą sprawę, musimy zrobić szereg zastrzeżeń. Farsa posługuje się chwytami dosadnemi, nie rezygnując przytem wcale z tempa i ze zręczności, przeciwnie: to są jej istotne cechy; ten film zaś jest naogół ciężkawy, a miejscami wręcz przykry. Apeluje do najbardziej niewybrednych upodobań gawiedzi i rzeczywiście uzyskuje poklask. Po kulturalnym tonie filmu „Czy Lucyna to dziewczyna?" znowu nawrót do chamusiowatej atmosfery.

Fakt, iż zbankrutowany mąż (Znicz) zaharowuje się po nocach, w tajemnicy przed żoną, jako kelner w dancingu, by zapewnić jej utrzymanie, sam przez się nie jest wcale komiczny. Dopiero nieporozumienia z tego wynikłe mogą przybrać komiczny charakter, a także i sposoby, do których mógłby się uciekać mąż, by zachować przed żoną swoją tajemnicę. Niestety, Waszyński nie potrafił czerpać z tych źródeł. Zamiast tego kazał żonie (Gorczyńskiej) przebywać w towarzystwie głupawego amanta (Krukowski). Krukowski w tej roli jest nudny, jak flaki z olejem, przytem zgrywa się na całego.

Amant pragnie skorzystać ze względów żony przy pomocy męża, który swoją rzekomą zdradą ma ją skłonić do odpłacenia mu pięknem za nadobne. Kombinacja rzeczywiście żydowska, ale niestety, dowcipu nie ma. Dalej mamy szatański pomysł ze środkiem na przeczyszczenie, co jednak wcale nie oczyszcza atmosfery filmu.

Aktorzy grali źle; pani Gorczyńska potraktowała swoją rolę nazbyt serjo. Tola Mankiewiczówna śpiewała ładną piosenkę, za co ją brzydko sfotografowano.

KANDYD

ZMARLI

† TADEUSZ NEWLIN-WAGNER

DNIA 9 bm., przeżywszy lat 43, zmarł w Milanówku śp. Tadeusz Newlin-Wagner. Jeszcze przed sześciu tygodniami ogłosiliśmy w „Myśli Narodowej" jego krótki, ostatni wiersz pt. „Odlot". Dzisiaj z serdecznym żalem żegnamy na zawsze — i poetę, i człowieka.

Tadeusz Newlin-Wagner pisywał niewiele, ale każdy, najdrobniejszy jego utwór był dziełem wartościowem. Nienawidząc modnej dziś nonszalancji w zakresie formy poetyckiej, strzegąc się jak ognia wszelkiej łatwizny, z niezwykłą starannością dobierał rytmy i rymy, misterne zwrotki, piękne i wyraziste metafory. Niemniej zasadą jego kunsztu była zawsze prostota. Dążył do niej, cyzelując swoje wiersze, usuwając z nich wszystko, co niepotrzebne, ażeby — za cenę tego trudu — osiągnąć wreszcie wyraz najwłaściwszy dla przeżytego nastroju czy refleksji.

A życie wewnętrzne miał wyjątkowo intensywne i pogłębione. Zły stan zdrowia, wątłość, kalectwo głuchoty — z natury rzeczy zmuszały go do ograniczania stosunków z ludźmi, do częstego i długiego przebywania w samotności, gdzie towarzyszem była mu jedynie myśl własna i—książka. Stąd w twórczości jego tak charakterystyczna dla niej, tak wyjątkowa w teraźniejszych nerwowych czasach atmosfera skupienia. Wglądając w siebie, wolny od dostarczanych mu przez życie potoczne roztargnień, tworzył swój wewnętrzny ład moralny, oparty na poczuciu religijnem i narodowem. Liryka jego, unikająca tematów błahych, pełna powagi, wskazuje na duchową pracę człowieka, zwróconego ku zagadnieniom wieczystym.

„Tak uciążliwy pył dróg, tak ostra cierniami skała,..
Więc Boski rzucamy Cel, ku celom idąc człowieczym.
W ranę, najkrawszą z wszech ran, co w boku Chrystusa pała,
Niewierną kładziemy dłoń... Dłoń kładziem w nią —
[i jej przeczym.
I Bogu przeczymy w twarz, by zgłuszyć głos ten, co woła,
Że wiara żywa jest w nas, która złem gardzi powszedniem:
Że kwiatem może być nam, co jest nam cierniem u czoła...
I że po nocy jest dzień... Chociaż pomrzemy przededniem".

Puściznę literacką Tadeusza Newlin-Wagnera stanowią dwa tomy wierszy lirycznych: „Wieczystemu pięknu" (1919) i „Zaczarowany dom" (1927). Ogłosił również tom bardzo starannie opracowanych przekładów pt. „Skarb dusz" (1929) — tłumaczone z oryginałów utwory poetów francuskich, włoskich, angielskich, niemieckich i rosyjskich z lat 1775—1900. Ponadto zajmował się krytyką literacką i historją literatury, publikując w tym zakresie szereg prac, wśród nich studjum: „Słowacki wobec zagadnień predestynacji" (1918). Nie przestawał pracować twórczo do ostatka, chociaż długa, uporczywa choroba całkowicie już wyczerpała jego organizm.

R.

† ANTONI hr. ROSTWOROWSKI

ZMARŁ w Krynicy, dokąd udał się dla poratowania zdrowia, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli polskiego ziemiaństwa, człowiek niezwykłej szlachetności i wielkich zasług, śp. Antoni hr. Rostworowski.

Ukończywszy, ze stopniem doktora, uniwersytet w Halle, osiadł w rodzinnym Milejowie, oddając się równocześnie działalności politycznej i społecznej. Wstąpiwszy do tajnej Ligi Narodowej, brał—przed wojną światową—czynny udział w życiu organizacyjnem stronnictwa demokratyczno-narodowego, pracując ponadto w kółkach rolniczych oraz w towarzystwie rolniczem w Lublinie, gdzie przez szereg lat był prezesem. W latach 1914—18, w pamiętnym okresie wojny i okupacji, był jednym z przywódców t. zw. Koła Międzypartyjnego, grupującego przeciwników współdziałania z Austrją i Niemcami, i jako przedstawiciel tegoż Koła udawał się z poufnemi informacjami do Szwajcarji, gdzie spotykał się z kierownikami Polskiego Komitetu Narodowego w Paryżu.

Głęboko religijny—*Sodalis Marianus* oraz członek trzeciego zakonu św. Franciszka — z niezwykłą ofiarnością pracował w ostatnich latach życia nad zapewnieniem materjalnych podstaw bytu Katolickiemu Uniwersytetowi w Lublinie. Hr. Potulicka, zapisując swój majątek Potulice temuż uniwersytetowi, powołała hr. Antoniego Rostworowskiego—wraz z obu ks. ks. kardynałami i ordynatem Maurycym hr. Zamoyskim—na jednego z czterech kuratorów fundacji. Równie ofiarnie przyczyniał się Zmarły do powstania siedmioklasowej szkoły powszechnej w Milejowie i do rozwoju szkół gospodarstwa wiejskiego dla dziewcząt i chłopców w Nałęczowie.

Człowiek wyjątkowej skromności, charakter niezłomny a pełen dobroci, budził głęboką cześć i serdeczne przywiązanie u wszystkich, którzy się z Nim zetknęli. Był przykładem życia poświęconego Bogu i Polsce.

Cześć Jego pamięci! R.

Ktoby z Szan. Czytelników miał niepotrzebne do kompletu numery 4 i 24 „Myśli Narodowej" z r. 1929, zrobi wielką łaskę, jeśli zechce je odstąpić redakcji naszej, która tych n-rów poszukuje.

OFENSYWA

TARABAS

KONIECZNIE trzeba będzie te powieści pisać jakoś bardziej interesująco i bardziej inteligentnie.

Co się weźmie teraz do ręki jakiś nowy tom rdzennego Sarmaty, to po pół godzinie odkłada się lekturę na przyszły tydzień. Im pompatyczniej i patetyczniej przechwalana i adorowana, tem nudniejsza i parafjalniejsza. Superlatywy gromowładnej i miarodajnej aktualnie krytyki wprost odstraszają. Im poważniejsze pióra, im uroczystsze arystarchy głos zabierają, aby wykazać „walory", mozół twórczy, głębię koncepcji i szczyty osiągnięć znakomitej autorki czy autora, tem wyżej dęba staje inteligencja czytelnicza, buntuje się i nadal nie czyta swojaków nadwiślańskich. Renomowane recenzenty wysilają się w nieszczerej afektacji do *maximum*, jeszcze dyletanckich debiutantów odrazu pasują na... mistrzów, zaraz po pierwszem dziele wróżą im świetlaną, wielką przyszłość, a publiczka, czy to elitarna, czy normalna, nie tylko egzaltacjom porwać się nie daje, ale poprostu ani drgnie, z rezerwy lodowatej nie wychodzi i najspokojniej nadal zaczytuje się przedewszystkiem i wyłącznie w t ł u m a c z e n i a c h, których całe wagony zrzucają na księgarniane półki przygodni wydawcy, anonimowi czasami i z pod wcale ciemnej gwiazdy...

Byłoby już wskazane statystycznie stwierdzić i udowodnić, jak przeważa pokup i popularność rzeczy tłumaczonych nad produkcją rodzimą. Jeszczy żydowiny jako tako protegują dla *decorum* piśmiennictwo *made in Poland* i na przemiany egzaltują się, to na ten przykład Choromańskim, to... Dąbrowską. Warszawa, czyli t. zw. „Warszawka" (jelita i inne wnętrzności) konsumuje już tylko tłumaczenia, dobre, czy złe, wszystko jej jedno, byle choć imaginacyjnie jak najdalej być na kilka godzin od „państwowościowego mocarstwa" i kochanych współobywateli. Tem też należy tłumaczyć sukcesy filmów i frekwencję kin: idjosynkrazją, względnie idjotosynkrazją do kraju, do rodactwa i chucią przebywania, czy obcowania choćby kilkagodzinnego, choćby z Malajczykami, Negrami, Eskimosami, Pigmejami... byle odetchnąć od swoich, zapomnieć o komornikach i stronnikach.

Jednym z najpopularniejszych w Polsce autorów jest Józef Roth. Owszem, jest także popularny Robert Neuman. Ale jeszcze bardziej rozchwytywanym jest Józef Roth. Wszyscy sowieccy pisarze też cieszą się (rok 1934) w stolicy Judosławian olbrzymiem wzięciem. Owszem. Ale jednym z najpoważniejszych jest Józef Roth. Bywsza Galicja wraz z Głodomerją (Lodomerry) nie zna czarowniejszego romansjera. Poczciwe i naiwne nasze beletrysty lokalne nie mają pojęcia o wyobrażeniu, jak kochanym w Polsce autorem jest Józef Roth. Nie poświęcili Rothowi ni jednego szkicu ani Skiwski, ani Rzymowski, ani Lorenzaccio, ani Grzymalita, ani K. Górski, ani A. Górski, ani Breiter, ani Peiper, a jednak, i pomimo tego jednym z najulubieńszych autorów w Polsce jest rzecz jasna, ani Kaden, ani żaden, tylko Józef Roth. Jak dawniej był Prus, a potem Żeromski, tak teraz jest... Józef Roth. W niektórych środowiskach jeszcze może Szołochow... Ale przeważnie wszędzie Józef Roth.

W „Zborach Endeckich" może nawet nie wiedzą o takim. Są przekonani, że wszyscy zaczytują się w Conradzie. Nic podobnego. Wszyscy czytają Rotha. I to nie żadna hołota, ale jeżeli już nie śmietanka intelektualna, to półśmietanka, *upper ten tousand*.

Powieści te noszą tytuły: „Hiob", „Rodzina Bernheim", „Hotel Savoy", „Marsz Radetzky'ego", „Zypper i jego ojciec", ostatnia „Tarabas", jeszcze ostatniejsza „Antychryst". Razem siedem, czy dwieweięć...

Taki „Tarabas" pojawia się w początku sierpnia w oryginale po niemiecku w Holandji (Amsterdam, Gueridoi-*Verlag*), a z końcem sierpnia jest już w polskiem tłumaczeniu panny Kragen czy dr. Bermana, wychodzi w olbrzymiej stosunkowo ilości egzemplarzy, w wypożyczalniach rozrywany, połykają ministrowe, prezydentowe, prezesowe, senatorowe, generałowe...

...Czytałeś już „Tarabas"?

...Nie, dopiero kończę „Hioba".

...A mnie się „Marsz" podoba.

Kto jest autor? Wiedeńczyk. Mieszany. Ojciec Niemiec ożenił się z rosyjską Izraelitką i umarł. Syna pogrobowca wyhowywało środowisko żydowskie, więc i musiał o p t o w a ć za żydami. I choć po mieczu arja, nie poszedł między... Parja, ale został dziennikarzem - reporterem, globetrotterem, a wreszcie romansjerem, no i żydem *in summo gradu*, 130-procentowym.

Bywały czasy, że i u nas pisywali zajmujące, ekscytujące powieści rdzenni Sarmaci.

Bywali, ale minęli.

Konieczna jest większa doza, większa porcja inteligencji w beletrystyce rodzimej.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Pewien działacz sanacyjny w terenie, idąc za przykładem pp. Prystora i Sławka, zaczął się zastanawiać:

— Jak się to dzieje — pytał, — że im więcej się sanuje, tem więcej nieprawości, im więcej radosnej twórczości—tem mniej się wytwarza, im więcej funduszów — tem mniej pieniędzy, im więcej posad — tem mniej się robi...

A głos z sali przerywa:

— Nie ma prezes większego zmartwienia? Najgorsze to, że im więcej żydków się kocha, tem więcej antysemityzmu.

*

Sanacyjny „Kurjer Wileński" ogłosił projekt do ustawy o „Izbach Kultury".

— Jakiej kultury?

— Tak — wogóle...

W każdem dużem mieście Izba, w każdem miasteczku delegacja. Biura, dyrektorzy, inspektorzy... Opieka. Pośrednictwo. Subsydja i t. d. Wogóle, *woobszcze*, ewentualnie, ale obowiązkowo...

— A fundusze?

— „Nie przypuszczam" — pisze projektodawca—„żebyśmy mogli ściśle określić, z jakich źródeł n a l e ż y uzyskać fundusze na propagandę kultury i właściwie nie do nas należy troska o sprawy finansowe"...

— No jednak?

— Jakiś dodatek do dodatku do podatku, coś w tym rodzaju — wogóle. To już głowa w tem ministra oświaty.

„Kurjer" układa teraz spisy kandydatów na ewentualne posady. I wogóle.

*

Podobno „Wiadomości Literackie", idąc za przykładem „Kurjera Wileńskiego", zamierzają wystąpić z projektem „Izb Życia Swiadomego". Te mogłyby się utrzymywać z dochodów własnych, jakieby dawały poradnie i wogóle małe izdebki.

*

Przypominamy sobie, jak wielką, radosną niespodziankę sprawiły p. Słonimskiemu wywody prof. Czekanowskiego, dowodzącego, że jakiś tam procent żydów warszawskich ma w sobie wcale pokaźny procent krwi nordyckiej.

Pan Słonimski skwapliwie schwycił za lusterko, przejrzał się i... nie uwierzył.

Literackie jednak już tak ostatecznie upewnić „Wiadomości Ażeby się zrobiły nawet specjalny wywiad z profesorem.

Teraz pan Słonimski mimo wszystko, jest pewny. Więcej nawet w tym wypadku wierzy endeckiemu profesorowi, aniżeli własnym oczom. Wierzy w swą nordyckość niemal tak mocno, jak p. Wittlin, że jest szlagonem z krwi i kości, od pięciu pokoleń „od bitki i wypitki", wychowanym w atmosferze „t. zw. dworu", w sposób nieżyciowy, bo niedemokratyczny, nad czem boleje...

Sto pociech z temi żydami!

*

Z przemówień pp. Prystora, a teraz Sławka możnaby wnosić, że „sanacja" zdemoralizowała się tylko w dziedzinie życia publicznego. Ale przyjrzyjmy się, co ona robi ze swoją młodzieżą. Oto ablegry sanacyjne w „Dekadzie" już po żydowsku orjentują się w literaturze polskiej. W artykule „Skleroza krytyki" z powodu szkicu krytycznego Z. Wasilewskiego o Tuwimie, czytamy:

> „Ale jakże inaczej dochodzi jej (Prawdy) poeta aryjski! Aby to udowodnić, (Wasilewski) cytuje lichy, młodzieńczy wiezszyk Kasprowicza, gdzie kataryniarski rytmik idzie o gorsze z metaforami w rodzaju miłość — rajski kwiat... Ludziom o takim guście nie może się Tuwim podobać. Dla nich wystarczy pianie Syrokomli albo Lenartowicza".

Niewiarogodne! Ładnie wysanowano młodzież! Dla niej wobec poetów żydowskich niczem są: Kasprowicz, Syrokomla, Lenartowicz.

*

„Kurjer Poranny" nad końcowym ustępem mowy min. Zawadzkiego, prezentującej budżet, dał taki tytuł:

„Znaleźliśmy zrozumienie i oparcie w społeczeństwie".

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45.**
Konto czekowe na P. K. O. **3.105.**

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM